

PONOWA

SPIS RZECZY.

PRZEKŁADY. WĄTKI I REFLEKSY:

PONOWA

PISMO POŚWIĘCONE POEZJI i SZTUCE

№ 2. WARSZAWA. CZERWIEC-LIPIEC.
MCMXXI.

OKŁADKĘ WYKONAŁ WŁADYSŁAW ROGUSKI. DRUK POD ZARZĄDEM J. LENARTOWICZA UKOŃCZONO DNIA PIERWSZEGO CZERWCA TYSIĄC DZIEWIĘĆSET DWUDZIESTEGO PIERWSZEGO ROKU W ZAKŁADACH GRAFICZNYCH E. I DR. K. KOZIAŃSKICH W WARSZAWIE. SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI TRZASKI, EWERTA I MICHALSKIEGO NA KRAKOWSKIEM PRZEDMIEŚCIU ∘ ∘ ∘ ∘ ∘ ∘ ∘ ∘ POD NUMEREM 13. ∘ ∘ ∘ ∘ ∘ ∘ ∘ ∘ ∘

EMIL ZEGADŁOWICZ

BALLADA O KRÓLU CYGAŃSKIM

— od wsi do wsi — głód i nędza
latem, zimą nas przepędza
a znikąd nadziei —
a tułactwo nęci —
— rom — daiá — rom —
wraca echo z kniei
i z wiklowych pręci
z gościńców i szos
i miedz —
—
bawią się dzieciska —
ten kamienie ciska
inny łapie kota —
rajwach i ochota —
niewiadomo który
goni czarne kury
czy wojtuś czy franek
a może to janek —
—
chrystusik na wierzbie
pod wierzbą ławeczka —
harmider — krzyk — hałas —
sprzeczka —
ten tego — czy może ów
pobitych nieco głów —
niejeden krwawi nos
to ci los!
—
wychodzi baba
(— skrzypią drzwi —)

— zas..... cicho —
dom jo ci —
cy cie nadało
pierońskie licho —
byś nogi połomoł
sakramencki bębnie —
zackoj
jino łociec wrócą —
bez łeb logą rębnie
to ci się odekce figli
smrodzie jeden —
—
pochowały się dzieci —
— cicho —
— słoneczko świeci —
— ptak z gałęzi przeleci
na gałęź —
aż tam nagle pies zaszczeka
gdzieś na krańcu wsi —
szczeka, skomli, wyje, chrypi —
— bo tam od gościńca
jedzie drogą wóz
nakryty płótniskiem —
kogóżby to wiózł? —
cygani jadą
złodzieje
cygani — !!
—
smagłe dziewki, krucze włosy,
kupa dziecek —
w różne głosy
piszczą, krzyczą, skaczą, koźlą —
— tego centusia na kawałek chleba —
— tego centusia, milostpane, tego centusia —
chłopy smukłe — wzrok ognisty —
szkapy, turkot, krzyki, świsty,
— cygani, psiekrwie, cygani —
—
skądżeście ta przyszli... z daleka...

— zapomniano w was widzieć człowieka,
w chrześcijańskim jesteście wszak kraju
— ale miłość bliźniego — baj — baju —
wasze życie to dziwna fabuła
o tem co się szarga, tuła —
ahaswery aryjskie — snów plemię
skądziś — dokądś idące przez ziemię —
anthinganoi — zagadkowy ludzie
co tak żyzno plemisz się na brudzie —
anthinganoi!! — cyganie, cyganie
kiedyż twoja tułaczka ustanie? —
rom się zwiecie — wy z wyklętej kasty
— jakże piękne są wasze niewiasty —
rom się zwiecie — życia krzepcy jeńcy
— jakże piękni są wasi młodzieńcy —
o bohemiens — znający psie dróżki —
chiromanci, blacharze i wróżki,
o złodzieje — chrzczący pięćkroć dzieci —
jakże dumnie chytrość wasza świeci
w ślepiach mądrych —
o psie plemie tułacze
a tak bardzo bliźniacze
wszystkim, którzy tu włóczęgą żyją —
wszystkim, których uwodzi snów taniec
wszystkim, którzy wystawiają szaniec
przeciw ludzkiej miłości
co wali pięścią w pysk —
—
jak ci ludzie żyją?
— tego centusia na kawałek chleba —
dadzą ci psiakrew centa —
psa poszczują
lagą walną —
pójdziesz jucho stąd — cyganie — —
— cygan — cygan —
straszne imię —
poniewierka, kradzież, brud —
brak odwagi —
nawpół nagi

chytry i leniwy lud —
w frygji czyli likaonji,
krecie, korfu, węgrzech, polsce
czy hiszpanji —
jeden djabeł — jeden brud —
no i to, że niema domu
możeż się podobać komu? —
boć to przecie słusznie świat
chwali porządeczek, ład —
choćbyś niewiem ile kradł
każdy powie do cię brat —
jeśli dom masz i zasobek
któż cię spyta o zarobek? —
. . . .
wszyscy kradną ale skrycie
— kradzież to właściwie życie —
kto sprytniejszy ten wygrywa
niedołęga kto się zgrywa —
ale to społeczny ład —
panem — który więcej kradł —
. . . .
. . . .
choć tam czasem rzekną: paskarz —
wraz po brzuchu się pogłaskasz
wiatr przekleństwo w las poniesie —
mądrość bracie — tu jest — w kiesie —
no i miłość też — —
lecz jest śmiesznie i zabawnie
jeśli ktoś tak jawnie kradnie
jak cygan —
jeśli tak w dziady popadnie
jak cygan —
dyskredytuje cały klan —
— skryto kradnij — będziesz pan!!
cygan — cygan — straszne imię —
płonie w lecie — marznie w zimie
no i kradnie
gdzie przypadnie —
ciągle kradnie

bo chce żreć — bo musi żyć —
(— od sześciuset lat — w europie
— a może i dawniej — już kradł —
— pewnie, że kradł —)
i tak jawnie — ! —
w tem jest świństwo!!
—
— dosyć — dosyć —
—
tymczasem
już cygani pojechali dalej —
ludziska się bali —
wygnali
za wieś —
od wsi do wsi głód i nędza
latem, zimą ich przepędza
a znikąd nadziei —
a tułactwo nęci —
— rom — daiȧ — rom —
wraca echo z kniei
i z wiklowych pręci
z gościńców i szos
i miedz —
—
...... lecz zapada noc ......
...... lecz zapada noc ......
zgaście światła i słuchajcie
(— muzykusy — hej — zagrajcie —)
...,.. już zapada noc .....
słuchajcie —
wśród wierzb — na ispach — na grapach —
— na polanach — pośród lasu —
— na krańcach wsi — w pustaciach —
— wertepach — rozdrożach —
— cegielniach martwych —
— w górach — w węgierskich pustach —
— w abruccach — stepach, prerjach —
— przed murami saragossy —
— w piemoncie — gdziekolwiek bądź —

— na skalnym podhalu — w karpatach —
— w dolinie skawy — w beskidzie — —
słuchajcie i patrzcie
zpod powiek przymkniętych — —
. . . . słych idzie
    i głos
    i gwar
    i śpiew
    i śpiew —
            — w tę noc
            — w tę noc . . . .
słuchajcie!!
— — koczowiska — ognie — dziwy —
— tańce — śmiechy —
nagła cichość . . . .
— czarodziejski tan —
dziewek śniadych wian — —
— — a zaś stamtąd
(— w sferze innej —)
kędy światło szyb się bieli
z cieniem głów na storze —
w restauracji
przy kapeli
do kolacji
cygan gra —
— w budapeszcie, wiedniu, dreźnie,
madrycie, florencji, rzymie,
w saragosie, moskwie, kijowie,
tunisie, piotrogrodzie. aleksandrji,
w konstantynopolu, sofji, warszawie,
krakowie, rydze, paryżu,
londynie, niujorku, sanfrancisko,
i tak dalej
i tak dalej
bo i w orleanie, tokio, pekingu
i w wielu innych miastach
kędy światło szyb się bieli
z cieniem głów na storze
w restauracji

przy kapeli
do kolacji
cygan gra —
jęczą skrzypce —
płaczą skrzypce —
o gęśliczki moje
o gęśliczki tęskne —
mych łez zdroje
w strunek czworo
ból i nędza w zakład biorą —
a jęczą
a płaczą
a jęczą
a tęsknią —

dai — daiá — dai
dai — daiá — dai
dai — daiá — dai
rom — tak — płacze
rom — tak — jęczy
rom — tak — tęskni
rom — —
dai — daiá — dai
dai — daiá — dai —

cygan — jam cygan — tsjeng —
anthinganoi — tsieng —
bohémiens — tsieng —
— oj dolo, dolo
serca nas bolą —
łąki kwieciste
noce świetliste
swobodo!!

—

....słuchajcie....

—

a po świecie wszerz rozwiane
wszerz i wzdłuż —
te obozy, koczowiska
iak płomienie róż —

te pojęki skrzypeczkowe,
te melodje muzykowe,
te przyśpiewki tak tęskliwe,
nieszczęśliwe, frasobliwe —
oj dolo — dolo —
— jezdem cygon co nic nimom
jino biedną cyganecke co śnią ligom —
dai — daià — dai —
—
a w kuźnicach opuszczonych
przy kowadłach zardzewiałych —
huk — stuk — trzask —
kuje blacharz kocioł z miedzi
kuje cygan kocioł z miedzi
nad wzbrzuszeniem ręce biedzi —
kuje młotem w łach blach —
huk — stuk — szczęk — grzmot —
młot!!
—
koczowiska, ognie, dziwy —
tak odmienny, inny świat
koczujących — wędrujących
tułaczy cyganów —
koczowiska — kuźnie — dziwy —
chiromanci — wróżki — czary —
tak odmienny, inny świat — —
tańce — śmiechy — namiętności —
żądze — bóle — poniewierki —
czarodziejski tan —
dziewek śniadych wian —
gołe piersi, jędrne, strome —
uda ślicznie wytoczone —
w tan!! —
krzepcy chłopcy
jurne tryki
smętne ślepia
a palące —
twarde mięśnie —
w tan!! —

a skrzypeczki jęczą
płaczą —
a ognisko iskry sypie
gwieździ —
a skrzypeczki tęsknią
płaczą
jęczą —
dai -- daiá — dai —
dai — daiá — dai —
dai — daiá — dai —
rom — tak — płacze —
rom — tak — jęczy —
rom — tak — tęskni —
rom —
dai -- daiá — dai —
dai — daiá — dai —
oj — dolo — dolo
serca nas bolą —
łąki kwieciste
noce świetliste
ranki rosiste
noce szroniste —
swobodo!!
tsjeng — tsjeng — tsjeng —
(— przodownik —):
swobodo tyś nasz Bóg —
nadziejo naszych dróg —
przyroda świątynia nasza —
przyroda świątynia nasza
z niej nikt nas nie wystrasza
jak z wsi i miast —
(— chór —):
swoboda to nasz Bóg —
innego Boga nie znamy —
nadzieja naszych dróg —
na wszystkie strony bramy —
(— przodownica —):
życie nasze oddanie
i żądza —

za pokarm stanie —
                    — zaspokojenie —
nocy cienie!!
południa żar —
                    — w krew się wdarł — —
o ty mój!!
(— chór —):
życie nasze oddanie —
każda łąka nam łożem;
chłopca zwerbować na spanie
pod namiotem bożym,
kopułą słoneczną lub gwiezdną —
                    — urodo!!
swobodo!!
—
tu z koła współrówieśnic
tanecznica bieży młoda —
co za krewka uroda!!
wargi jak dwie rany
wzrok żądzą pijany
warkocze jak węże —
w zębach dużych, lśniących
kwiat czerwonej róży — —
przewija się tanecznica —
w dłoniach czarne czarki —
bosonoga, gołouda —
skrzą cekiny drżą —
ręce jak dwie wstęgi
fruwają nad głową
w pochyleniu raźnem
lśnią poświatą płową —
już suną po ziemi
gronostaje dwa —
kastanietty — kastanietty —
— kochaj mnie —
tak — tak — trah — trah —
tsjeng —
— gra — uderza — raz wraz
                    raz wraz

raz wraz
trah —
— kochaj mnie —
jak skra
jak skra
klekoce gra
tak — tak —
usta czerwone
piersi wzniesione
piersi rozśmiane
piersi zuchwałe
trah — trah
szum zapasek
szczęk świecideł
koralików, dżetów, szkieł — —
jak skra
jak skra
klekoce gra —
klocki tłuką twardy takt —
raz w raz
takt w takt
tak — tak
trah — trah
tsjeng — —.
piruet na jednej nodze —
furkot — tan
trah — trah
gra — skra —
tak — tak —
tsjeng — —
— uniesiona — wniebowzięta —
już nieziemska —
— podniesiona —
— w gwiazdach gra —
— w gwiazdach tańczy
i z gwiazdami —
(— głownie iskry sypią —)
— coraz szybciej —
— wciąż zawrotniej —

— zmienniej —
— zwinniej —
— dalej —
— po świetlistej tańczy fali —
— taniec — furkot — skra —
— klocki — tłuką — twardy — takt —
tak — tak —
takt — w takt —
trah — trah —
skra — gra —
tsieng — —
—
. . . jęk! ! . . .
          (— zadumane źrenice zdumione —
          — już zapadło — skończone — skończone—)
. . . jęk! ! . . .
          (—posypały się płatki różane
          — na zdeptaną wkrąg ognia polanę —)
—
muzykusy zagrajcie
a wy ludzie słuchajcie —
wnet się skończy ballada
kto zmęczony niech siada —
— — — tramelpolka — raz, dwa, trzy
          kto nie umi niech patrzy —
          a kto umi niech niecha
          tramelpolka jest lekka — — —
—
słuchajcie:
— czy kiedyś to się stało
czy kiedyś tak się stanie —
— gdy mówię już się dzieje —
pieśń — to jedyne trwanie
                    (— istota trwania —)
słuchajcie:
— noc się mrokiem osłania —
gwiazdy błyszczą
ogniska —
— ustał taniec —
szczęk w kuźniach też ustał —

jakaś wielka narada —
poprzez wszystkie obozy
koczowiska
ogniska
idzie zmowa
sejm wielki
cygański —
—
w koło ognisk tak siedzą
w monotonnym, wysiłnym namyśle —
wszyscy o sobie wiedzą
po wszystkiej krańcach ziemi —
bo im oto ta chwila
wytęskniona przez wieki
idzie: — wielkiej wspólności
    ich dróg i pól
    przemierzonych w łazędze
    po przez wstydy i nędze
    i człowieczy ból —
— już się oto przesila
pod gwiazdami ta chwila —
wstanie — wstanie
wybrany
przez stulecia wołany
nieukoronowany —
On — Cygański Król!!
— tamę stawi tęsknocie —
chadzał będzie nie w złocie
lecz w koszuli czerwonej jak krew —
portki z materji czarnej —
harny będzie mocarny —
trwoga pójdzie gdy zmarszczy swą brew —
codzień inna dziewczyna
z dzbana będzie lać wina
— król cygański — hej — pije za stu —
codzień inna dziewczyna
szatki króla rozpina
— król cygański — hej — kocha za stu —
codzień innej dziewoi

kosy w gęśle zestroi,
— król cygański — hej! — śpiewa za stu —
—
królował będzie świarnie
całe plemię ogarnie —
i słał wici król będzie na świat —
każdy cygan, cyganka
to kochanek, kochanka —
w sercu króla — jest równy — jak brat — —
król to będzie ponad wszystkie króle
hołubiły go deszcze i bóle
nie rozkosze, wyniosłość, nie szych —
przeto pójdzie po świecie
poprzez skarby i śmiecie
ten słych:
że całą krasną ziemię
w pieśń człowieczą zaklnie romskie plemię —
tak swobodne jak duch dzikich pól —
tak bez celu jak wszystko na świecie —
— i że miłość to cygańskie dziecię —
i że śpiewność to cygański ból — —
—
a nad tym ludem
miłością i śpiewem
pacta conventa
sprawia władza święta
wolą wszystkich wybrana —
w osobie tego
cygana króla — —
niechaj żyje
niech włada
niechaj pije i kocha i śpiewa
niechaj włada — nam — Cygański Król —
—
— już skończona ballada —
—
sutą wyprawiono fetę —
były wina i miody
dziewki przedniej urody

hej! wybrano na Króla POETĘ!!
hej — była też ochota —
gwiazdy zborgowały złota,
księżyc śrybłem prasnął wszystkim w ślipie —
— buk bukowi — lipa lipie —
— dąb dębowi — sosna sośnie
— zaszumiały coś radośnie
— w poszustnym szeleście —
i szły głosy
pod niebiosy:
Król Cyganów POETA niech żyje!! —
lejcie wina z miedzianego dzbana —
ej — dzbanie miedziany,
ej — dzbanie gliniany
szkliwem polewany —
— w twe ręce — vivat — świecie mój pijany —
lejcie, lejcie — dolewaj —
kubek gęsto przechylaj —
lejcie, lejcie, lejcie wino
— dejże buzi dziewczyno —
ej wino ze dzbana
z miedzianego dzbana —
— pijmy, pijmy, pijmy — hej! — do rana —
sto lat, sto lat, sto lat niech żyje nam —
a kto nie wypije,
tego we dwa kije —
niechaj wraca skąd przyszedł niemrawiec —
—
—
chrystusik na wierzbie
pod wierzbą ławeczka —
harmider — krzyk — hałas —
sprzeczka —
ten tego — czy może ów —
pobitych nieco głów,
niejeden krwawi nos
— to ci los!
—
pochowały się dzieci —

— cicho —
— słoneczko świeci —
— ptak z gałęzi przeleci na gałęź —
aż tam nagle pies zaszczeka
gdzieś na końcu wsi —
szczeka, skomli, wyje, chrypi —
— bo tam od gościńca
jedzie drogą wóz —
nakryty płótniskiem —
kogóżby tu wiózł? —
cygani jadą —
złodzieje
psiekrwie
cygani. — —

„Wziął wiatr brata za kamrata"
Julian Tuwim

RÓŻA CZEKAŃSKA-HEYMANOWA

JAK SIĘ WICHER OŻENIŁ Z WICHURĄ.

Pokłócił się wiatr z wichurą,
kto ma głębszy dech, —
kto śmiglej, kto ściglej lotną zawieruchą
pogoni hen — po polu,
po błękitnem rozdolu, —
kto chybciej szarpnie chmurą,
że zwinie się, jak wrzeciono
wkoło siebie, wkoło siebie
i poleci siwym ptakiem
po niebie...
Kto wyrwie stary dąb,
że zwali się z łoskotem,
o ziemię stęknie młotem,
przeciągłym huknie grzmotem
o ten lesisty zrąb.

Hej!.. huczy wicher — hulaj, jak ja,
hej, hula babula,.. hu ha.., hej ha!
po dachach się tulam, i bujam, i kulam,
gałęzie na drzewach roztulam, zatulam —
to furtą trzasnę,
to belką chlasnę,
po moście zadudnię,
bęc, wiadrem o studnię,
na chwilę ucichnę,
nabiorę tchu,
i znowu huu, huu!..

Ośmiała się wichura, na te patrząc harce, —
hej wieju, asindzieju, — teraz ja zatańczę! —
Sama w sobie się sprężyła, westchnęła głęboko,
spiralą się zakręciła, wionęła wysoko,..
Hej swobodo, swobodo
i wolności urodo,
hej swawolo swawolna
niespętana, dokolna;...
poprzez łąki, poprzez lasy
wywijasy, obertasy,
taniec dziki,
bez muzyki....
Pochyliły się drzewa wszystkie w jedną stronę,
jakby biegły za wichurą w pędy roztańczone,
kłośne łany poszły w tany
w takt zawrotny, rozpętany, —
stargała się trawa,
a to ci zabawa!....

Przypadł wicher pod wichury stopy roztańczone. —
Hej, kochanko, pohulanko, — zdasz mi się na żonę!
Pójdź, swadziebne sprawim gody,
z panną młodą panicz młody,
na weselny tan!

Gdy ich ślubem złączyła gradobitna chmura,
wraz wewiały się w siebie wicher i wichura,
w prężny uścisk się splotły w pożądaniu zgodnem,
dwa oddechy zmięszały w całowaniu głodnem.
I upiły się sobą aż do niepamięci! —
Chwyci wicher wichurę, wkoło nią zakręci:
Chodź tańcować, wichuro,
raz ty dołem, ja górą,
raz ty górą, ja dołem,
pohulamy społem!

Zaszumiały, powiały
i nad morze zleciały.

Chybotnęła się głębia, rozczochrały bałwany,
i zakwitła na falach jaśminowa biel piany,
skoczą w górę wysoko rozszalałych wód bryzgi,
tak to wicher sprawował swoje dzikie umizgi.

A teraz po lesie
niech nas tan poniesie!

Trzeszczą klony, trzeszczą buki,
w całym lesie huki, stuki,
coś tam jęczy, coś tam stęka,
gdzieś się skarży czyjaś męka,
przerażony liść łopocze,
biała brzoza się trzepocze,
pnia suchego głuchy trzask,
wkoło jęki, lament, wrzask...

A teraz przez polany
na pola, łąki, łany!...

O, przestrzeni bez granic!
na szalony ten taniec,
hej, woli, miejsca wiele,
jest gdzie sprawiać wesele!
Po zielonej, po błoni
wiatr z wichurą się goni:
koziołkują, harcują,
huczą, gwiżdżą, cwałują,
to się w uścisk zaplotą,
to się gryzą pieszczotą,
to się splączą, rozplączą,
to się znowu połączą,
aż stańczone, zbiegane,
jak psy gonem zziajane,
gdzieś przyległy w ustroni,
gdzie tylko cisza dzwoni.....

Na zielonej murawy miękkie aksamity
przyległ wicher z wichurą, pieszczot jej niesyty,
jeszcze na nie ciekawy, jeszcze na nie łasy,
na małżeńskie miodowe wywczasy....

RÓŻA CZEKAŃSKA-HEYMANOWA.

W SŁOŃCU.

Nad ziemią zastygł, niby dzwon szklany,
kryształ powietrza, żarem rozdrgany,
upał się w iskry błękitne pyli,
jak szafirowy okwiat motyli.
Dokoła stoi cichość mdlejąca....
Sad się przystroił na święto słońca.

jak w Boże Ciało chłopska gromada,
co na procesję zbiega się rada.
Idą dziewuchy — jabłonie, gruchy,
w biel kiecek strojne, urodne juchy;
wiatr im welony kwietne rozwiewa,
każda gałązek poszumem śpiewa, —
śpiewa, jak umie, — skrzypliwie, cienko,
schlebia się Bogu swoją piosenką.

Młode dębczaki, — jak parobczaki,
takie zdarzone, śmigłe chłopaki;
wiatr im od strony przywiał korony,
niby na bakier kaszkiet włożony.

Wierzby zgarbione i pochylone, —
jak gospodynie, pracą strudzone;
sztywne gałązki sterczą dokoła,
jak rurkowane czepce u czoła.

Stare kasztany idą tuż w parze, —
poważni, godni to gospodarze,
czasem zastęka który, zagada,
ot, jak to sąsiad zwykł do sąsiada.

Dołem się plączą małe pędraki, —
pręty agrestu i malin krzaki,
kolcem zaczepne i zadzierzyste,
pilne do swady, skaranie czyste!

Raptem skowronek zadzwoni dłużej,
niby ministrant, co do mszy służy.
Wiatr wścibski wpadnie z którejś tam strony,
szarpnie na drzewach białe welony,
że spadnie kwiecia siejba pachnąca,
ścieląc się cicho pod stopy słońca.

Jaskry i czombry, fiołki i mięta,
cisną się społem do tego święta;
i buchną wonie, jak z trybularzy,
rozkołysanych u stóp ołtarzy.

Cisza się zrobi, milczeniem dzwonna,
ciżba się cała schyli pokłonna,
jak przed monstrancją, co cała złota,
w rękach kapłana się rozmigota.
I tak się nisko cały sad schyli,
jak w podniesienia najświętszej chwili,
i hołd pokorny odda wspaniale
SŁOŃCU, co stoi w południa chwale.

WANDA MELCER-RUTKOWSKA

PIEŚŃ O ODZYSKANEJ ZIEMI

UŁAMKI

W dobie żyjemy straszliwej — w dobie wcielania się słów.
Wszystkie ojcowskie marzenia i wszystkie marzenia dziadów
ciałem się stały i krwią: i stoją patrzą na ciebie,
wielkie, oczy otwarły patrząc na ciebie, marzenie.
Mówią: jesteśmy! Pytają: takiemiż chciałeś nas widzieć?
Przyszedł na świat cały oto okres straszliwy i piękny,
ziszcze się nagle to wszystko, coś kiedy zdołał pomyśleć,
wszystko dla wszystkich się iści: marzenie dzieci i kobiet,
ciałem się stają zamysły tajne staruszków brodatych.
Męże, co w sile wieku, patrzą z zachwytem w sny swoje,
Rolnik ma, co umyślił, ma, co wymarzył, robotnik,
Kupiec ma, k'czemu tęsknił. Tak się to jakoś stało,
samo się jakoś stało. Kiedy się wojna zakończy
każdy zdziwiony zobaczy, że wszystko ma, czego pragnął.
Temu lat jeszcze parę wleczono kobiety do sądu;
w sądzie do kratek przykute stawały angielskie kobiety,
wiece robiły, pochody, dzikie okrzyki i bitwy,
walcząc o równość z mężczyzną. Dziś wszystko mają, co chciały:
w sejmie posłują, na wojnę idą narówni z żołnierzem.
Dostał zapłatę robotnik i równy jest urzędnikom.
Chłopi ziemię dostają — nie będzie więcej bezrolnych.
A wam jest wrócona ojczyzna.
Wszyscy na całym świecie prezent dostali wspaniały
Waszą wróconą ojczyznę i odzyskaną ziemię.
Wszyscy, co pragną i łakną sprawiedliwości na świecie
(przecież są tacy jeszcze, wiem o tem z wszelką pewnością)
dostają w darze ojczyznę, którą odzyskał ktoś smutny.
Teraz ci powiem: patrzę i widzę jasno, zbyt jasno:

wiem — ci aż nazbyt dokładnie, ilu im Polska przeszkadza,
między Niemcami i Rosją trwałe, odporne granice,
między wiecznymi wrogami Polski wytrwała przegroda.
Rosja ma u nas w zakładzie mężów wspaniałych i wielkich,
których obecność być może przekreśli dawne niezgody,
ale przez całą wojnę nie zobaczyłam ni razu
jednej szlachetnej idei któraby wyszła od Niemiec.
Nic tylko gniew i nienawiść, zazdrość i niecne intrygi.
Mimo to wierzę, że wszystko to, co się dzieje wokoło
rzeczy jest tylko powierzchnią, którą się męty przetoczą,
nurt zaś głęboki przyniesie z sobą najczystsze kryształy.
Prawdą jest, że świat cały być nie mógł bez Polski szczęśliwy;
ludzi zadużo po polsku mówi, by kazać im przestać —
i tak się nieposłuchają, jak przez lat sto nie słuchali.
Znowuż się zrosły te ziemie, niecnie porwane na sztuki,
znów polska mowa rozbrzmiewa na całej sławnej ziemi,
radość oddech zapiera i słowa w gardle zadławia.
Miesza się, miesza przedziwnie i wojna i rewolucja,
walka o prawa narodu i walka o prawa człowieka,
życie rozstrzyga wszystko przez trupy, przez krew, przez gruzy,
pisze zgłoski odwieczne ręką, co nie zna trwogi.
Powiem ci teraz, coś zyskał, i co ci było zabrane.
Powiem o ziemi wróconej, wszystko, aż do dna, wszystko,
powiem wszystko co wiem, powiem wszystko, co słyszę,
nic nie ukryję przed tobą, choćby najgorsze rzeczy,
O geografji kraju, o górach jego i rzekach,
o morzu tobie opowiem, zbożach, ogrodach, kopalniach,
miasta, wsie ci przywołam niech same o sobie świadczą,
ludzi naukę, sztukę, zwyczaje i obyczaje,
słuchaj, zamykam powieki i mówię słowo: Polska!

* * * * * * * * * *

Miasta wy nieodkryte, śmieszne polskie miasteczka!
Nikt o was nigdy nie słyszał, nikt was nie zna na świecie!
Nowy Kolumb potrzebny wam, coby płynąc do Indji
Odkrył przypadkiem Szydłowiec, albo zatrzymał się w Świeciu.
Starzy tylko uczeni wiedzą o waszym istnieniu,

czasem geograf jaki wspomni przedziwną nazwę,
tyle a tyle mieszkańców, przeważnie wiele tysięcy.
Wiele tysięcy ludzi rodzi się tam i umiera,
wszyscy wiedzą o sobie, co który robi i myśli,
wiedzą o sobie wzajemnie, i trochę o reszcie świata,
co ich zapomniał na zawsze, a może nigdy nie pomnił.
Śmieszne polskie miasteczka na górze, albo w dolinie!
Łatwiej każdemu wyliczyć wszystkie we Włoszech wioski,
niż jedną taką nazwę, trudną do pamiętania.
Dziwny ty, dziwny kraju, puszczo ty niezbadana.
Jesteś dziewicą nietkniętą, i wciąż się jeszcze wzbraniasz
wydać swe tajemnice. Cokolwiek się tutaj robi,
wszystko jest jakieś dziwne, obce i niepojęte,
wszystko raz pierwszy widziane, i niesłyszane nigdy.
Każdy krok tutaj stawiany nie miał Jana Chrzciciela,
coby go przepowiedział, światu całemu wieszcząc.
Każde mówione słowo, czyż będzie miało następcę —
dwunastu apostołów, co na nim kościół zbudują?
Polska nauko, sztuko, polscy filozofowie!
Pisze historyk o Płocku. Stron napisał siedemset,
w końcu zamieścił wykaz aktów i manuskryptów,
których przeczytać nie zdołał, a które gdzieś istnieją.
Giną, niszczeją książki nieznane, nieprzeczytane,
myszy zjadają okładki piękne, z tłoczonej skóry,
robak wgryza się w karty, w zżółkły, przetarty pergamin.
Patrzę na księgozbiory, na stosy starych książek,
półki ugięte ciężarem, pełne książek bez końca, —
patrzę na strychy, skrytki, na bibljoteki klasztorne,
stare archiwa kościelne, w ratuszach zamknięte pokoje,
czemuż nie mogę przeczytać wszystkich, wszystkich tych książek?
Gdybym przynajmniej mogła nie wiedzieć o nich, zapomnieć,
gdybym mogła nie myśleć, że coś rozsypuje się w gruzy,
czego nie mogę zatrzymać, i czego nie mogę poprawić!
Straszna odpowiedzialność ciąży na tobie i na mnie,
każde zginione dzieło będzie nam policzone,
tobie, i mnie, i wszystkim, co wiemy i pamiętamy.
Czyż nie jesteśmy wszyscy, jak bractwo jakieś tajemne,
wzajem o sobie nie wiedząc, czyż nie jesteśmy złączeni,
wszystko to na nas ciąży za to tylko, że wiemy;

grzechu nie czyni niewiedza, oni są wszyscy niewinni.
Śmieszne wy polskie miasteczka na górze, albo w dolinie!
Bez kolei żelaznej, dalekie, zgubione na świecie,
nijak do was dojechać, nijak się dostać niemożna,
nagle, jak kwiatek naiwny, gotoweście zakwitnąć na piasku,
potem się okazuje, że macie kościoły dwa, ratusz,
park miejski nowoczesny, i domy stare w rynku,
murem-ście otoczone, co się rozpada w gruzy,
rzeka jakaś omywa wasze spalone stopy.
Jakże do was dojechać, jakże się do was dostać?
Stare jakieś obrazy wiszą na ścianach w kościele,
starzy ludzie śpią cicho w grobach zamkniętych w kościele,
płyty leżą kamienne, prości, kamienni rycerze
data zatarta i napis, proste, łacińskie litery.

* * * * * * * * * *

Polna ty moja Ojczyzno, ojczyzno pszeniczna i żytnia!
Wczas dojrzewania żółty chodzić można polami,
długo, długo polami, które się ciągną bez końca.
Równe, proste miedze dzielą od pola pole,
ślizkie wysokie miedze, porosłe miętą pachnącą,
w zbożu maki rosną, czerwone, przezroczyste,
rosną habry niebieskie i fioletowe ostróżki,
żółty i biały miodownik, i fioletowe skabiozy,
smółki różowe, kąkole, i kurze ślepie, i dzwonki,
i tyle, tyle innych, których nazywać nie zdołam.
Na conajlepszej ziemi, jak mur stoi pszenica,
ciężkie, bogate kłosy, twarde, gładkie, dostojne,
ziarno w dwa rzędy na bok w kłosie drogi rozchyla,
środkiem sznur paciorów, trzeci rząd ziaren prosty.
Żyta pierwsze dojrzałe chwieją się w płowej urodzie,
lekkie rozłoża kłosów chwieją się w wietrze pierzaste,
bujne stoją jęczmienie, a każdy kłos, jak fontanna
tryska ości rozgwiazdą długich, słonecznej barwy.
Pachną gryki różowe, i gryki śnieżno białe,
wątłe lny już rozbłysły modremi kwiatów gwiazdami,
jesienią pachną łubiny, niesie się zapach przez pola,

przez pola świeżo zorane na przyszłe znowu chleby.
Tak mi to zbożem płyną i sandomierskie ziemie,
pszenice hrubieszowskie na całą Polskę sławne,
kujawskie, i mazowieckie, i wielkopolskie znowu
zboża płyną tym krajem, jak dolinami rzeki.
Patrzę się na te ziemie: stoją mi ludzie z kosą,
gdziekolwiek wzrok obrócę, stoją mi ludzie z kosą,
kładą się pola z westchnieniem, cicho wzdychają zboża,
świat mi się cały chwieje jednym, jedynym rytmem:
zbóż co się w wietrze kołyszą, i ramion co chodzą równo,
rozkołysane zgodnie z falą żółtego zboża.

JAN NEPOMUCEN MILLER.

BALLADA FLISACKA

O JASIU, CO ZDOBYWAŁ KRAKÓW.

Płynęli flisacy wisłą i dunajem,
wisłą i dunajem —
głębią i mielizną, drogą i rozstajem —
po wełnistej ścieli strugą pian płynęli
wodą przeciw wodzie —
aż stanęli nocą w krakowskiej gospodzie.
Na czele narodu
Jaś dobywa grodu —
Wynoszą mieszczanie flisom lity pas:
— już wam pora w drogę, wiosła chwyćcie wraz!
— na czele narodu
Jaś dobywa grodu —
Wyniosą mieszczanie złota pełny wór:
— Hejże, chłopcy, w drogę, nim zapieje kur!
— na czele narodu
Jaś dobywa grodu —
Wywiodą mieszczanie dziewkę gładkich lic:
— Płyńcie chłopcy, chyżo nie mieszkajcie nic!
Pytała dziewczyna, skąd płynie wicina,
dokąd Bóg prowadzi
i czy Jaś nie zdradzi...
— na czele narodu
Jaś dobywa grodu —
Wyszła ku nim dziewa płonna, czarnobrewa;
stanęła na łodzi wśród flisackiej młodzi —
jak stała — została,
o nic nie pytała....
— — — — — — —

ani czego radzi,
ni skąd Bóg prowadzi —
dokąd płyną oni
i czego chcą po niej —
ani z jakich granic,
ni do jakich stanic...
— — — — — — — — — — — —
Chyżo zzuła szaty, legła na makaty
płonna, czarnobrewa —
nie pytała o nic...
-n-i-e-
Spiętrzonej wody siny wał przez dzioby statków się prze-
[lewa...
Hej!
!by takiej dziewczyny boskich zaznać ud,
trzeba wichrów kapeli i bezmiaru wód!

Zaniechali grodu...

Urodny kwiat dziewczęcej bieli na skołbanionych wód
[pościeli
przelewem srebra i kryształu urąga z wód spiętrzonych
[zwału —
Jaś ujął ster w swe dłonie...

Z wichrami w przegon mknie flotylla flisów chyża —
do nieprzebrnionych brodów mórz, do skołtunionych sie-
[dzib burz
rybitwy lotem się przybliża...
Hej! —
— płyną flisacy wisłą i dunajem,
wisłą i dunajem,
głębią i mielizną, drogą i rozstajem —
po wełnistej ścieli do morza wpłynęli
na grzbiecie rwących wód
w przystań bezpieczną rozchylonych ud...
— — — — — — — — — — — — — — —
Nad brzegiem Wisły stał Krakowski gród...

JAN NEPOMUCEN MILLER

O PANNIE MŁODEJ, CO NIE BYŁA PANNĄ; O PANU MŁODYM, CO PRZESTAŁ BYĆ PANEM; O JASNYM PANU, CO MIAŁ MROCZNĄ TWARZ I O JASNEJ PANIENKI GŁOGOWYM RUMIEŃCU.

Grzmią kopyta po moszczonej drodze,
po Krakowskim z Kielc bitym gościńcu,
brzmią wozy brzmią —
po bukowinie
— *panna młoda we wieńcu* —

Rozegrzmiały po lasach tętenty
po polach, po nowinie —
druchen swarne lamenty:
— Hej! pora już dziewczynie —
hej! pora —
naścież stoi komora!

Zajechali przed bielony dwór,
zajechali przed cisowe wrota,
zajechali —
stanęli u płota.

Wyszedł jasny pan
z najpiękniejszą z cór;
złota za nim pacholik dźwiga pełny wór —
hej! jasny pan!
wyszedł biały jak bielony dwór —
— *panna młoda we wieńcu* —

Zabrzmią społem basetle, skrzypice —
zatrzaskały uplecione bicze —
okrzyk pokrzyk rozniesie po lesie —
— *mroczne pana jasnego oblicze* —

Hej! do jasnej panienki Jezuskowych nóg
chyli głowę pan młody,
panna młoda we wieńcu:
Pobłogosław Bóg!

Jasna panna zakwitła w rumieńcu —
jak ścielony głóg:
— Hej! błogosław Bóg!

Do jasnego Pana wielemożnych nóg
chyli głowę pan młody,
panna młoda we wieńcu:
Pobłogosław Bóg!

Do jasnego pana wielemożnych stóp
upadł wianek —
jak garść ziemi w grób.

— *mroczne pana jasnego oblicze* —

Cnego rodu zakała,
gdzieżeś wianek podziała?

Zatrzaskały uplecione bicze,
grzmią kopyta po moszczonej drodze,
po Krakowskim z Kielc bitym gościńcu,
brzmią wozy brzmią —
po bukowinie;
Koni grzmiące tętenty,
druchen swarne lamenty —
po polu, po dolinie:
Oj! nie pora dziewczynie!
nie pora!
Trzeszczy pod nią rozwora
pasek ciśnie z wieczora
oj nie pora! nie pora
Zwisły cicho uplecione bicze —
oj! nie pora! nie pora!
— *mroczne pana oblicze* —
nie pora!...

STEFAN KOŁACZKOWSKI.

NASZ STOSUNEK ESTETYCZNY DO POEZJI LUDOWEJ.

II.

Mówiąc o irracjonalizmie w poezji ludowej, nie mam na myśli właściwego dzieciom i umysłom prostaczym zamiłowania do klecenia wierszy, gwoli samej żywiołowej radości zestawiania i rymowania, co widoczne jest w takiej np. zwrotce pieśni dożynkowej:

„na podwórzu kaczki w błocie
nasza pani chodzi w złocie",

ani też owej ochoty do tworzenia fikcji komicznych w zestawieniu z realną możliwością — opowieść o komarze, co z dębu spadł, złamał sobie w karku gnat, jest pod tym względem typową. Tego rodzaju prymitywne „fraszki" mogłyby być przedmiotem niezmiernie ciekawego studjum psychologicznego nad ich genezą: Skąd bierze się ta wola absurdu, to amatorstwo figli intelektualnych, — studjum tem ciekawszego, że w naturze staropolskiej tkwiła ogromna doza takich tendencyj. „Pan Jowialski" jest genialnym pomnikiem tej narodowej właściwości i dlatego tak głęboko, głęboko narodowym utworem. Nie myślę tu o tym rodzaju irracjonalizmu, który jest przejawem półświadomego poczucia związków emocjonalnych między zjawiskami, który jest resztką uczuciową po zabobonnych wiarach. Przykład ze znanej pieśni, „Stała nam się nowina:"

„Rośnij lilje wysoko,
Jak pan leży głęboko",

objaśni jakie to mistyczne irracjonalne związki mam na myśli.

Ponieważ takie irracjonalności w poezji ludowej są często pełne głębokiej treści, więc to jest zrozumiałą przyczyną naszego „dobrego uprzedzenia" do tego rodzaju efektów artystycznych

i sprawia, że wszelki irracjonalizm jest dla nas bodźcem do tłumaczenia uczuciowego, wypełnienia go treścią własnych przeżyć moralnych i metafizycznych. Szukamy głębi, gdzie jej może niema, ale i wnosimy tę głębię własną. Irracjonalizm staje się najmisterniejszym narzędziem symbolicznego wyrażenia całych najgłębszych przeżyć uczuciowych, które wymykają się analizom i ujęciom. Irracjonalizm tego rodzaju, spotykany najczęściej w zestawieniach, dystychach, refrenach i często w przeplataniu fabuły zasadniczej jakąś inną, która stanowi paralelę emocjonalną, jest dla nas źródłem złożonych wrażeń. Irracjonalizmy innego rodzaju, naiwność, przemawiania zwierząt — mogą nam się podobać, ale nigdy nie przemawiają w tym stopniu do najgłębszych podkładów naszej psychiki. W pierwszym rzędzie te zestawienia mają tylko walor nastrojowy, ale nie zawsze na tem koniec. Piosenka ludowa:

„Siałem proso na zagonie,
Nie mogłem go żąć.
Pokochałem lube dziewczę,
Nie mogłem, go wziąć,
Bo posiać, to nie żąć,
Bo kochać, to nie wziąć...
Proso zeszło, lecz przed żniwem
Zbił je zimny grad,
Moją miłość do dziewczyny
Zły zepsował świat".

(Gloger str. 259)

może służyć za przykład tej paraleli dwu tematów: środek wzmagania nastroju przez tworzenie analogji uczuciowych. Są to zda się wszystko rzeczy dawno znane i środki te stosowane są często w liryce literackiej. Ale prymitywna naiwność i dosadność takich zestawień, zarówno w doborze paralel jak i kontrastów, sądzę, że w poezji ludowej jest wyższa niż w sztuce kulturalnej. Uderza ona nieraz tak, jak uderza umysł człowieka dojrzałego i kulturalnego bystrość spostrzeżeń dziecka lub chłopa.

Dlatego właśnie, że te zestawienia uderzają nowoczesną wyrafinowaną psychikę, zdolną współtworzyć i interpretować po poetycku, w irracjonalizmie swoim odsłaniać mogą otchłanne mroki rzeczy nie dających się wyrazić; kontrasty „nieokrzesane" nadają się do ukazania najpotężniejszych rozterek duszy, dla-

tego, odwracając stosunek, nowoczesny poeta może posługiwać się temi środkami, jako symbolami do wyrażania irracjonalnych nieopanowanych analizą głębin przeżyć. Kasprowicz w „Pieśni o Waligórze" posłużył się takiemi ludowemi dystychami, przepajając je wszystkiemi skarbami, jakie ta forma może objawiać. Jest tu i potęga kontrastów, działająca niby ostre kontury złomów kamiennych, a zarazem jakaś przemoc wewnętrznego pokrewieństwa uczuciowego, które sprzęga te zwrotki w mocno zaakcentowanym rymie ponad przepaścią głuchych przemilczeń serca:

„Nie zapomnę takich ust na wieki,
Pod turnami ciemne rosną smreki.
Nie zapomnę śmiechu, co mnie rani,
Szumi jawor na wysokiej grani".

Innym razem w tej pieśni o Janosiku zestawienia, pobrzmiewające niby potężne echa gór tatrzańskich, działają, jak odzew tajemniczy metafizycznego bytu, bowiem między treścią krwawych spraw serca, a zaklętą w tych echach duszą świata, narzucona została przez poetę więź ukrytego, nie dającego sie wypowiedzieć związku.

W dalach giną skamieniałe oczy,
Skroń Chrystusa krwawym potem broczy.

Niezliczone, długie broczy wieki,
Pod turniami ciemne rosną smreki.

O ty, święty pocie Chrystusowy,
W ciemnych smrekach rosną złotogłowy.

Taka to może być olbrzymia gradacja wartości artystycznych w obrębie tej tak pozornie zupełnie znanej i *jednego,* technicznie rzecz biorąc, środka — ramki dystychu. Począwszy od pierwotnej skłonności do zestawiania rzeczy podobnych, splatania w rym dla samej radości rymowania, jak w krakowiaku:

Siwy konik siwy, siwy jabłkowity,
Byłbym dawno księdzem, żeby nie kobiety,

aż ku wysoce celowemu wyrażaniu tym sposobem nieujętych głębi moralno-religijnych, aż ku nastrojom najwyższej grozy metafizycznej — tłumaczących się estetycznie, jako najwyższy stopień wzniosłości, jaki dać może sztuka. Czemużby pozosta-

wać — skoro się tę ludową technikę naśladuje — na tym najniższym szeblu radości zmysłowo fonetycznej, cieszyć się li tylko naiwnością, skądinąd miłą, nieoczekiwanych zestawień — możeby tak po tych szczeblach trochę wspiąć się w górę...?!

To, co mówiłem o dystychach da się *mutatis mutandis* powiedzieć i o refrenach w balladach ludowych. Różnorodność wrażeń artystycznych, oczywiście, może być nieograniczona, dlatego wybieram przykłady dające, mym zdaniem, wrażenie niezwykłe, głębokie. Refreny, jak wiadomo, mają znaczenie czysto muzyczne i nastrojowe. Wartości te, choć się przeważnie splatają, mogą być jednak wprowadzone dla jednej już z tych wartości. Być może, że często refreny te były wprowadzone w niektórych pieśniach tylko gwoli muzyczności, być może, że chodziło tylko o luźny związek nastrojowy, dość, że niektóre z refrenów ballad, przełożonych przez Porębowicza, są zupełnie pozbawione logicznego związku z fabułą rozwiniętą w balladzie i w czytaniu pozostają obecnie dla nas wartością martwą. Trudno bowiem dociec, jakie znaczenie miał refren „Igrali na murawie" w balladzie skandynawskiej Smok:

„Dumna Ingelill siedzi w balkonie
Do harfy złocistej przykłada dłonie,
— Igrali na murawie" —

Z tego przykładu widzimy, że bez uczonych komentarzy nie umiemy wogóle zająć żadnego estetycznego stanowiska wobec takiego efektu artystycznego. Kiedy indziej znów ta luźność związku logicznego może być źródłem wrażenia tak głębokiego, że znowu wahamy się, czy tak wyrafinowany efekt był przez twórcę zamierzony. Ze świadomością, za sprawą-li tylko instynktu twórcy, czy przypadkiem, dość że są pośród tych skandynawskich pieśni wartości przedziwnie wyrafinowane i złożone i dlatego, że wydają mi się wyjątkowemi, pragnę je wskazać. Mam tu na myśli dwie ballady, stanowiące pewną analogję: „Klątwa elficy" i „Pan Bösmer w krainie elfów". W obu tych balladach refren stanowi kontrast z nastrojem całości. W pierwszej, do opowieści o wysokim nastroju grozy o zazdrosnej elficy, która zabija młodzieńca, jadącego do narzeczonej, wpleciony jest po pierwszej zwrotce i na końcu pieśni niewinny o łagodnym nastroju refren (o elfach): „Tak lekko po gaju za-

wodzą tan". Druga ballada, podobnej treści, o panu Bösmerze, którego elfica czarami zwabiła w krainę elfową i napoiwszy czarownym napojem sprawiła, że zapomniał o rodzinie i narzeczonej, która „poszła smutne życie kończyć w klasztorze", zawiera na początku i na końcu spokojny pogodny refren: „A lipa się zieleni". Tu już mamy do czynienia z czemś więcej niż tylko nastrojowym efektem, jak np. w balladzie „Tor z Hawgaard", w której nie związany zupełnie, w irracjonalnym pozostający związku refren: „Tor hamował rumaka wędzidłem" daje poprostu tylko nieokreślone wrażenie mocy, bujności. W tych dwu balladach o elfach mamy wrażenie jakiegoś potężnego przełamania jednostronności nastroju w imię wrażenia pełni życia. Każdy określony stan liryczny jest jakby widzeniem świata *jednostronnym*, przedmiotowym. Refren w rodzaju „A lipa się zieleni" w zestawieniu z poprzednim ponurym nastrojem działa tak, jakby kto przerzucił olbrzymi łuk ponad całą skalą ludzkich uczuć w stosunku do życia. Daje to nie tylko wrażenie jakiejś głębokiej *harmonijnej* mądrości życiowej, która nie zapomina o niczem, w rozpaczy pamięta inną stroną duszy o radości i odwrotnie, ale uczuciowo daje wrażenie jakiejś olbrzymiej pełni lirycznej, wrażenie wyzwolenia z jednostronności wszelkich egotycznych liryk, wszechobejmującego stanu lirycznego wobec świata. Piersi rozpiera wszechliryzm życia.

To są wszystko moje osobiste skrajnie podmiotowe sposoby interpretowania, nikt tak nie jest „obowiązany" rozumieć. Ale gdyby nawet efekty te były zamierzone przez twórcę tych ballad, o cóżby mi chodziło, o ciekawostkę, o danie oryginalnego przykładu, o stworzenie nowego działku w rejestrze jakichś tam gatunków środków artystycznych? Bynajmniej: Stosunek nasz do poezji ludowej z natury rzeczy prosty być nie może — może być tylko podmiotywym, przetwórczym.

Wyspiański w dramatach historycznych, wiedząc, że absolutnie wiernym, przedmiotowym być nie może, rezygnował z tego z góry i był świadomie celowo podmiotowym. Jego dramaty historyczne — to rzuty na przeszłość jego *ujęcia*, ujęcia wogóle naszego, współczesnych ludzi, tych spraw historycznych.

Podobnym niechaj będzie stosunek poety do utworów prymitywnych.

Nie może być prostym — niechajże będzie jaknajbardziej przetwórczym, niech wszystko widziane staje się bogatszem w złożoności naszych odczuwań. Dlatego to nie wstydzę się, że tak „niesystematycznie" mięszałem przykłady z pieśni ludowych z cytatami z Kasprowicza. Tam gdzie chodzi o ukazanie podmiotowego przetwórczego stosunku, tam te granice między twórczością własną poety, a odczuwaniem niby to danych przedmiotowo wartości w sztuce ludowej się zacierają. Tylko taki poeta, który tak wyrafinowanie utwory ludowe odczuwał-przekształcał, może tak tworzyć sam. I odwrotnie, kto środki artystyczne, niby to już w samej pieśni ludowej stosowane, ku wyrażeniu tak głębokich stanów duchowych zużywa, ten musiał te efekty artystyczne utworów ludowych w podobny sposób wprzód, podmiotowo ujmując, odczuwać. Żadnego więc tu naukowego studjum nie piszę, jest to niby notatnik podróży o przygodnie spostrzeżonych pięknościach świata, z którym każdy niech, co potrafi, zrobi. Poeta niech dziwuje się jakich to piękności można się w rzeczach niepozornych napatrzyć, nauczyciel niechaj nagorszy się niepedagogiczną samowolą interpretacji, uczony zaś niechaj łamie sobie głowę, co z tym fantem zrobić, są-li „przedmiotowe" w pieśni ludowej takie wartości; jeśli są, niech je wliczy i zaklasyfikuje i nad genezą ich się zastanawia. W żadnym razie nie jest to zbiór luźnych rad dla pragnących kraść cudze piękno poeciców. Kraść można dowoli tylko piękności fonetyczne poezji, jej naiwność i dziwactwa, wzniosłości i głębin ukraść się nie da. Tu trzeba coś wnieść — żeby zobaczyć. Irracjonalizm tylko powtórzony—pozostanie tylko irracjonalizmem — nonsensem Symbolicznej piękności nabiera prostota dopiero wtedy, gdy jest małomównością głębi i przez swą małomówność tak bogato wieloznaczną.

ALEKSANDER SZCZĘSNY

ROZMYŚLANIE.

O jakże mi was żal,
was, którzy czekacie
u bram jutrzejszego dnia;

U bram ze mgły,
u przejrzystych wrót,
które jednak wam mącą
Czystość rozumienia na zawsze...

albo u tych stalowych,
po których rdza
krwawemi ocieka smugi,
I gdzie się kłębią w bezsilnej mocy
Bary potężne, nabiegłe siecią żył,
— jak do bodzenia schylone
Na purpurowych karkach, golone łby, —

Albo u tych z dawnego,
zapomnianego drzewa,
którego rzeźba cudna
już jako pomysł umarła.

Albo jeszcze u tych,
które nie różnią się niczem
od wejść do szynków,
do jam rozpusty,
kaplic pogrzebnych, trupiarni i lochów...

Wy u tych bram czekajcie
Swarliwym, niezmiernym tłumem,
nie wiedząc nic, co za niemi;

Wy tylko pragniecie przejść
coś, co się stało już bramą,
nieznośną zaporą dla stada,
które z kurzawy niezmierzonych dróg
przyszło jednego wieczora...

A zjawił się on, ten wieczór niespodziewany
nie z przeczuć królestw bezkreśnych,
ani w potrzeby stalowem okuciu,
jeno w instynkcie wściekłym,
jak ostateczna obrona
przed śmiercią. —

— — — — — — — — — — — — —

Stoicie na waszym progu
i wzajem patrzymy na siebie...

Zapóźno,
zapóźno już posiąść dziś tajemnicę,
nieprzeniknionej dziecięcej ufności,
ócz kryształowych, wzniesionych ku niebu,
serc, które biją zgodnie z chórem gwiazd;

Więc trzeba szukać się w mózgach,
wytrysłych na brudne ściany,
w swędzie spalonych pocisków,
które usłużny narkotyk
w subtelne zmienia rozkosze,

Szukać się w sinych od głodu
pazurach, rwących na kąski
tłuszcz padłych bydląt —
i zawód, piekielny zawód
ukajać, w pośpiechu drżącą,
czerwieńszą nawet od krwi
obietnicą.

Płacze wam dzień i płacze noc,
zapomnieliście o śmierci,
bo macie jej w sobie
za wiele;

Szaleni grozą pośpiechu,
kiedy wam każe jak ślepcom
błąkać się tuż obok drogi,
hańbicie cokolwiek jeszcze
pohańbić można!

I święte słowo pokój
na waszych wargach
coraz brudniejszą ocieka śliną,
i wielkie postanowienie: — wojna
drży w waszej ręce —
niby w kupieckich zakrzywionych palcach
ostatnia kiesa...
Próżno rodzicie się
i umieracie — napróżno! —

dusi was noc,
stworzona przez was,
dusi was czad pomysłów
i wykonania pleśń; —

A wy, jak skąpiec zimnemi dłońmi
pieścicie jej aksamit
i coraz prędzej, coraz bezładniej
szukacie w niej objawienia
— wyschłego mózgu...

— — — — — — — — — — — — — —

O, nie powiadam wam kazań
na rynku w targowy dzień,
nie chcę słuchaczy
ni pochwalnego ryku;

Wyzbyć się tylko muszę
jak spiekłej krwi,
tego co myśl obarcza,
gdy chce być żywą
i tworzyć!...
Wiem, że musimy —
i wy i ja,

najgorszą przeżyć godzinę,
godzinę bezwzględnej ciemności; —
nadchodzi ona:
ostatnie światła gasną nad morzem głów,
głodnych, rozżartych głów ludzkich;
dla niewidzących — nic, zostanie jeno dotyk...

Ale zaprawdę, jeżeli w wysiłku,
który się równa rozdarciu żył,
by świeżą trysnęły krwią,
nie dobędziemy ze siebie świata w ciemności...
— — czas się zatrzyma
i człowiek stanie się formą,
formą dotyku! —
— — — — — — — — — — — — — — —

Ciemna przychodzi godzina:
ostatnie światła gasną nad morzem głów,
u bram jutrzejszego dnia
stanęli ludzie,
ślepota źre ich jak trąd,
nie mają siły przekroczyć nowego progu.

STANISŁAW WYRZYKOWSKI

POETA POTĘPIENIEC.

Życie i twórczość Edgara A. Poe'a przypada na okres niezmiernie bujnego, duchownego rozkwitu, który wydał u nas Mickiewicza, Norwida, Krasińskiego i najświetniejszego śród nich, rówieśnika wielkiego poety amerykańskiego — J. Słowackiego. W Anglji tworzyli podówczas Dickens, Thackeray, Carlyle, Lytton, Tennyson i Elżbieta Barret. Świtała już młoda sława Roberta Browning'a. Żyli jeszcze Wordsworth i Coleridge. Mimo L. Hunt'a, który głosił wielkość Keats'a i Shelley'a, utrzymywało się niewygasłe uwielbienie dla Byron'a.

We Francyi władcami dusz byli romantycy. Hugo, Lamartine, Dumas, Mérimée pisali dzieła, w których atmosferze miała się rozwinąć z czasem pokrewna twórcy „Ligeji" indywidualność poetycka Baudelaire'a.

W Stanach Zjednoczonych istniało również grono rozgłośniejszych pisarzy. Wszelako niewielu z nich wznosiło się ponad bardzo średnią miarę. Longfellow, raczej kaznodzieja niż poeta, jednał sobie serca prostaczych purytanów sielankową słodyczą pozbawioną wytworności, subtelności i głębi. Lowell miał nazawsze pozostać tylko znakomitością miejscową. Emerson, który tak wielki wywierał wpływ na Mickiewicza, zagłębiał się częściej w zagadnieniach humanitarnych niż poezyi. Jedynie o kilka lat od Poe'a starszy Nathaniel Hawthorne dorównywał mu siłą i świeżością swej twórczości, poczętej w mgławicach posępnego marzenia. To też Poe zwalczał Longfellow'a, wymieniał uprzejmie obojętne listy z Lowell'em, niecierpiał Emerson'a i podziwiał Hawthorne'a. Lecz wszyscy oni byli mu dalecy i obcy. Nie miał przyjaciół i czuł się niewymownie samotnym.

Samotność ta wynikała nie tyle z dumnego odosobnienia, w które wtrąciły go ubóstwo i nałóg, co z rozbieżności odczuwań i poglądów. Wszelki dydaktyzm był dlań odrażającą skazą

na twórczości poetyckiej, zaś ci pisarze byli przedewszystkiem głosicielami moralności. Z wyjątkiem Hawthorne'a, dla którego moralność była tylko tłem melancholicznych wizyj, więcej czcili oni dobro niż piękno. Miast zagłębiać się w możliwościach życia, nauczali, jak żyć należy. Sztuka była dla nich służebnicą „ludu", którego Poe nie lubił. W duszach ich jarzyły się skry, rozpierzchłe z krwawej głowni Rewolucyi Francuskiej, której autor „Kruka" nie był czcicielem. Wbrew tym demokratom i zwolennikom ludowładztwa, Poe utrzymywał, iż „rzeczą ludu nie jest stanowić prawa, lecz ich słuchać".

Zatarg między poetą a młodem i zdrowem, lecz do odczucia wytworniejszej poezyi niezbyt jeszcze przygotowanem społeczeństwem, śród którego żyć mu wypadło, sięgał zatem bardzo głęboko. Poe, w którego duszy tliło się zarzewie nieukojonego tragizmu, rozmarzony i zamknięty w sobie, błąkał się śród tłumu jak tajemniczy pielgrzym z nieznanego świata, nie tając swej wzgardliwej wyniosłości. Czuł się duchem twórczym i człowiekiem wolnym śród zgraji bezdusznych niewolników, co nie byli zdolni wyzwolić się ze swego jarzma. Wiedział, iż natury, istotnie twórcze, należą do rzadkości. Acz nędzarz, miał w marzeniach dumę królewicza z baśni, co znalazł się przypadkiem w towarzystwie pachołków służebnych, z tą wszakże różnicą, iż pachołkowie uznawali wyższość tajemniczego przybłędy, gdy ówczesny amerykański półświatek ducha domagał się od poety, by zaprzągł się w służbę tuzinkowego utylitaryzmu i ciasno pojmowanych, humanitarnych idej. Ta małostkowość i ograniczoność rozbudzała w nim gniew. „Bynajmniej nie jest historycznym pewnikiem — pisał pogardliwie — iż było kiedyś siedmiu mędrców; byłbym raczej skłonny złożyć ten pomysł na karb Kabały". Wypowiadał swe poglądy i sądy bez trwogi, nie bacząc na następstwa, gdy inni liczyli się zawsze z uznaniem lub naganą niewybrednej opinii publicznej. Poe zasługiwał, by mierzono go niepowszednią miarą. Był wybrańcem, naznaczonym znamieniem wielkiego przeznaczenia, zuchwałym żeglarzem na nieprzejrzanem *Mare Tenebrarum,* które odkrył i które miało go pochłonąć. *Abyssus abyssum...*

Za to wzgardliwe lekceważenie i samotniczą wyniosłość odwzajemniała się mu pospolitość nienawiścią. Poe żył i two-

rzył jak człowiek, który wie, że jest znienawidzony, i zaiste, niepospolity musiał być hart jego ducha, iż zdołał zachować przytem tyle równowagi i spokoju. Był samotny i stokroć gorzej niż samotny, gdy torował sobie drogę śród mateczników, by obudzić pocałunkiem zaklętą w sen upiorny Krasę. Trujące ciernie zagradzały mu przejście i z sykiem podnosiły głowy jadowite węże, wstrzymując pochód jego utrudzonej stopy. Uprzejmi dziennikarze obłudnie ubolewali nad nim, że „pisał z nieskończoną trudnością i stylem, zbyt odbiegającym od popularnego poziomu, by mógł przytem dobrze zarabiać". Wszystkie jego niepowodzenia życiowe składano na pijaństwo, które istotnie podkopało jego zdrowie, nadwątliło ustrój nerwowy i przyprawiło go o śmierć przedwczesną. Ostatnie lata jego życia są przeraźliwie podobne przewlekłemu samobójstwu. Umarł na łożu szpitalnem, w bezgranicznej nędzy i opuszczeniu, a ostatnie jego słowa były: „Panie, bądź miłościw mojej biednej duszy".

Mściwa nienawiść ścigała go aż za grób. Pierwszym jego pośmiertnym oskarżycielem był podrzędny dziennikarz i literat, Dr. Rufus Griswold, któremu poeta powierzył nierozważnie zebranie i wydanie wszystkich swych utworów, zawartych częściowo w niewielkich zbiorkach, częściowo zaś rozproszonych po czasopismach. Griswold na podstawie dokumentów, dostarczonych mu przez zmarłego pisarza oraz jego przyjaciół, postawił sobie za zadanie „odsłonić do naga niepocieszny charakter poety — jak się wyraził inny literat amerykański, C. F. Briggs, i napisał wspomnienie, w którem ze szczególniejszą zaciekłością roztoczył obraz wszystkich domniemanych i rzeczywistych wad i zdrożności Poe'a. Prócz pijaństwa, które istotnie uwłaczało pamięci autora „Kruka", lecz nie było jeszcze piętnem wyjątkowej hańby, gdyż wedle słusznej uwagi Baudelaire'a trudno przypuścić, aby wszyscy inni pisarze amerykańscy byli aniołami trzeźwości, — obwiniał go Griswold o wiarołomstwo małżeńskie, ukrywanie swego wieku, robienie długów oraz—na równi z tem wszystkiem! — o niezdolność naginania stylu do miary pospolitej publiczności. Ponadto w całym szeregu niedomówień, przypuszczeń i aluzyj pozwalał się domyślać jeszcze występniejszych i potworniejszych rysów tej nieujętej i zagadkowej natury.

Co najdziwniejsze, iż Griswold działał podobno w dobrej wierze. Wydawca jego, Redfield, utrzymuje, iż uważał za obowiązek sumienia przedstawić wszystko zgodnie z prawdą, zaś syn Griswold'a w szeregu artykułów, zamieszczonych w jednem z czasopism nowoyorskich, a popartych mnóstwem dokumentów i komentarzy, usiłował oczyścić pamięć swego ojca z zarzutu niegodnego oszczerstwa. Sprawa ta po dziś dzień nie jest dostatecznie wyjaśniona; to tylko napewno powiedzieć można, iż wystąpienie Griswold'a główną było przyczyną, dla której imię Poe'a nurza się wciąż jeszcze w posępnym pomroku obłędu i występku.

W ślad za oskarżeniem Griswold'a pojawiły się inne. Po czasopismach amerykańskich i angielskich znęcano się jeszcze długo i najczęściej bezimiennie nad cieniami najznakomitszego twórcy Nowego Świata. Niewiele pomogły nieśmiałe próby rehabilitacyi, podjęte przez Willis'a, Wilmer'a, John.a Neal'a i Graham'a. Nawet drgający płomiennem oburzeniem i ironią odzew Baudelaire'a, który w przedmowie do przekładu dzieł Poe'a podjął się obrony uwielbionego przez siebie poety i znalazł posłuch w całej Europie, niezbyt przyczynił się do złagodzenia surowego osądu purytańskiej krytyki amerykańskiej, co nie zdołała ograniczyć swego potępienia tylko do osoby wyklinanego poety, lecz rozciągnęła je także w niemałej mierze na jego dzieła. Trzeba było długich lat i szczegółowych badań, by pogląd amerykański na poetę ostatecznie ustalił się i skrystalizował. Najdoskonalszym tego poglądu wyrazem stała się uchodząca po tamtej stronie Oceanu za klasyczną monografia *) Prof. G. E. Woodberry'ego, który tajemniczą indywidualność i magiczną twórczość genialnego romantyka takiemi określił słowy: „ — sprawa poprostu przedstawia się tak, iż Poe, pochodzący ze szlachetnego rodu, wysoce uzdolniony i wychowany lepiej od swych towarzyszy, niejednokrotnie miewał sprzyjające okoliczności, świetne widoki oraz grono przychylnych, rozsądnych i uczynnych przyjaciół, ale wciąż marnował tę pomyślność, ba nawet pospolitą cześć uczciwego imienia. Spożywał opium i pił wódkę — bez względu na przyczyny, stały się one na-

*) *Edgar Allan Poe by George E. Woodberry* w zbiorze *American Men of Letters.* Houghton Mifflin Comp. Boston and New York.

rzędziami jego zagłady i zanim upłynęła połowa jego żywota, dokonały swego dzieła ze straszliwą dokładnością — był człowiekiem złamanym. Zmarł w warunkach wyjątkowej sromoty, nędzy i niedoli, wszelako nie przypadkowej, gdyż rodzaj jej i koniec były oczywiste i nieuniknione. Pozostała po nim pamięć, przeznaczona na długie istnienie, zaś dokoła niego rozkrzewiła się wyidealizowana legenda, której czynników szukać daleko nie trzeba; wszelako w pierwszych zaczątkach historyi literatury młodego narodu prawda jest lepsza niż kłamstwo, acz pozłacane, kiedy zaś chodzi o geniusza, który tak łatwo uzyskuje romantyczną władzę nad sercami i zapala je czcią, rzetelność jest obowiązkiem społecznym. W księdze literatury naszej imię Poe'a widnieje obok niewielu najprzedniejszych, zaś w całym świecie, jak długi i szeroki, geniusz jego dowiódł swej mocy śród ludzi. Jakkolwiek czerpał karm z innych źródeł, był jednakże dziecięciem Coleridge'a, co objawia się w złowieszczych rysach jego wyobraźni, w zasadach jego analitycznego krytyzmu oraz w spekulatywnych skłonnościach jego umysłu. Jako artysta, którego uzdolnienia, wsparte na nadzwyczajnej wrażliwości i odczuciowości władz duchowych, dzięki myśleniu, cierpliwości i nieustannemu poprawianiu siebie samego rozwinęły się w subtelne, władcze mistrzostwo, niezrównane w swem dziele — był on raczej człowiekiem kultury niż wrodzonej, doskonałej potęgi twórczej. Wyposażony naturą marzycielską, talentem do snucia baśni i uzdolnieniem do alegoryi, nie posiadał natomiast innych poetycznych władz szczytnego geniuszu, to też jego twórczość przebywa w dziedzinie błędnych uczuć, symbolicznych idej i fantastycznych obrazowań, zaś czar jej polega głównie na zmysłowych efektach barwy, dźwięku i melancholii, wzmożonej przyczajonemi, lecz nieuchwytnemi suggestyami zagadkowych pomysłów. Niekiedy jawią się promienie światła lub smugi miłych krajobrazów, lecz przeważnie mistrzostwo jego roztacza się śród straszliwych, złowieszczych pustkowi. W wyobraźni i w czynach miał na usługi jakiegoś demona i w jego to krainach marzenia gościł samotnie. Prócz żony, która go ubóstwiała, oraz jej matki, która dbała o niego, w latach męskiej dojrzałości nie biło dla nikogo jego serce, zaś miłość nigdy nie miała nad nim tyle władzy, by powodować jego życiem. Puszczał sobie wodze i zajmował się tylko sobą, to też poza

rodziną nie pozostawił po sobie wspomnienia ani jednego dobrego uczynku, ani jednego szlachetnego uczucia lub wspaniałomyślnego poświęcenia. Wprawdzie wielu mężczyzn okazywało mu swą życzliwość i wiele kobiet, które ujął romantycznym sentymentem, zachowało wdzięczną po nim pamięć, wszelako te ujmujące sympatye nie zdołały nigdy przemódz nieujętej mocy, co czyniła go niezdolnym do zadzierzgnięcia naturalnych ludzkich stosunków, do stałego, przyjaźnego zbliżenia się do kogokolwiek poza gronem rodzinnem. Samotny, wyniosły i samolubny — jakże mógł niecić w swych dziełach żywotne idee ludzkości? Utwory jego posiadają wartość, ale nie tę, co górną doskonałością wieńczy dzieła ludzkie. Coraz dalej i dalej odbiegały od człowieczeństwa prądy jego żywota i genjuszu, nierozłącznie ze sobą skojarzone, aż bliźniacze ich strumienie, odzwierciadlając pod koniec pustkę, której tak często proroczym bywały obrazem, skrzepłe i zastygłe w połowie swego biegu, zapadły w otchłań. Dokonała się żałosna losu Poe'a sprawiedliwość i posępna sławy jego nieśmiertelność."

Sąd ten, w szczegółach słuszny, o ile chodzi o człowieka gdyż trzeba raz skończyć z chamską niegodziwością poglądu, jakoby artyście było wolno nurzać się we wszelkich kałużach, byleby wyłowił z nich obraz, rzeźbę, symfonię, dramat, powieść lub elegię), krzywdzi naogół pisarza i artystę. Nie był Poe wprawdzie miłosnym geniuszem ludzkości i nie stał się, jak Słowacki pod koniec życia, „rzeką światła w drugiej światła rzece", gdyż twórczość jego wązkiem i jakby podziemnem płynęła korytem, — ale był wielkim mistrzem słowa i jedną z owych tajemniczych, żywiołowych sił, co wynoszą z zamierzchłych głębi na światło dzienne rzeczy niezmiernie cenne i niezmiernie skryte. Zdolność twórcza, acz niewtajemniczonym może wydać się to paradoksem, nie zawsze idzie w parze z światłym rozumem i rozległą inteligencyą. Możnaby wymienić u nas i gdzieindziej wielu niepospolitych pisarzy, którzy bynajmniej nie posiadają „rozumnego gromowładnego czoła" Mickiewicza. Aliści dopiero lotność władz intellektualnych w połączeniu z darem twórczym zdolna jest wydać dzieła, które mogą przetrwać wieki i stanowią istotne pomnożenie wiedzy wnętrznej ludzkości. Otóż Poe był nietylko genialnym poetą, lecz posiadał także niesłychanie gibką i i przenikliwą inteligencyę.

Dzięki temu skojarzeniu osięgnął w swych najlepszych utworach, przepojonych najprzedziwniejszemi barwami tragicznego marzenia, niezrównaną prostotę, zwartość i jasność, co są tajemnicą doskonałości wszelkich arcydzieł, wybłyskujących z ciemni minionych wieków na podobieństwo marmurowych, helleńskich posągów. Zarazem jest on jednym z tych nader nielicznych pisarzy, u których między utworami wierszem a utworami prozą poza rymem niema istotnej różnicy. Jedne i drugie są poezyą, rozwijają się i budują z potężnego i tylko sobie właściwego duchowego rytmu, którego drganie układa wyrazy i zwroty w olśniewające czarodziejstwo fantastycznych arabesek.

Więcej od ziomków pobłażania dla człowieka i podziwu dla artysty okazali Anglicy. John H. Ingram swe znacznie pełniejsze i poprawniejsze od griswold'owskiego wydanie dzieł Poe'a (1874-75) poprzedził wstępem, który jest apologią poety i prostuje mnóstwo błędów i fałszów, zawartych w osławionym elaboracie Griswold'a. Wcześniej od niego Hannay sławił śpiewną melodyjność potępieńczego twórcy *Ulalume*. „Nie zdołamy nigdy ocenić Poe'a — pisał Andrew Lang — o ile nie zaprzestaniemy porównywać go z ludźmi o bardziej krzepkiej naturze. Trzeba go pojmować jako głos, niemal jako „cień głosu", rozbrzmiewający w przebytku poezyi... Nie jest to poeta, jak Homer, Shakespeare lub Molière, z którym można obcować zawsze — nad morzem, na wzgórzach i w zgiełku miejskim. To pieśniarz owych rzadkich chwil, gdy dusza, próżna pychy żywota, odchodzi — jeśli tak rzec można — by słuchać echa liry, której akordy rozlegają się skądś, od jakichś dalekich wyżów śmierci. Zdawaćby się mogło, że to Moschus lub Bion, który przeprawił się już przez Styks i śpiewa Plutonowi pieśni, zaledwie dolatujące do uszu śmiertelnych. „Melodyjnością powiada I. Skipsey — przewyższa on Collins'a i niemal wszystkich innych poetów, prócz może dwu lub trzech, którzy przodują w literaturze angielskiej... jestto najpiękniejszy i najświetniejszy geniusz poetycki, jakiego Ameryka wydała". Zdanie to podzielał również uwieńczony poeta, Tennyson, który w swych pamiętnikach uważa Poe'a za najoryginalniejszego geniusza Ameryki, godnego miejsca obok najmelodyjniejszego śród Latynów, Catulla, i najśpiewniejszego śród Niemców, Heine'go. Prerafaelici poddali się całkowicie urokowi dążności mistycznych

i muzycznego liryzmu poety amerykańskiego. Właściwy mu ton zaświatowej ekstazy udzielił się przedewszystkiem najznakomitszemu śród nich malarzowi i poecie, Dantemu G. Rosetti'emu, który pogłębił go jeszcze promienną cudownością przeduchowionego katolicyzmu. Poezye Poe'a były dlań wzorem, gdy kształtował nieskazitelną formę swego wiersza, pełnego kryształowych rymów i aliteracyj oraz tak zwanych po angielsku *repetend'*ów, czyli nawrotów w kolejno po sobie następujących wierszach do tych samych dźwięcznych słów i okresów, co brzmią jakby wtór tajemniczych, niewidzialnych chórów. Rozkołysana, srebrzysta gędźba poezyi Swinburne'a poczęła się również z tego samego źródła, zaś Oskar Wilde stał się teoretykiem rozbudzonego przez twórcę „Dzwonów" śród poetów angielskich kultu melodyjności wiersza, głosząc, iż „rym w rękach prawego artysty staje się nietylko czynnikiem materyalnym piękności metrycznej, lecz także czynnikiem duchowym myśli i namiętności, gdyż w pewnych razach daje początek nowemu przypływowi wrażeń, wywołując skojarzenia nieprzewidzianych idej i dzięki samej tylko suggestyi harmonijnych dźwięków otwierając złotą bramę, do której wyobraźnia dobijała się napróżno".

Krajem, w którym poezya Poe'a z najżyczliwszem spotkała się przyjęciem i gdzie wpływ jej najszersze zatoczył kręgi, jest Francya. Długotrwałe oddziaływanie mistyków, moralistów i psychologów francuskich przygotowało pod jej posiew glebę, na której krzewiło się już kwiecie fantastycznego marzenia. Romantyzm francuski niezależnie od obcych wpływów wydał niemało dzieł, snujących się z tego czarodziejskiego wątku. Tajemniczy jego urok przejawia się w *Légende des Siècles, Rhin* i *Han d'Islande* Victor'a Hugo; w *Spirite*, w *Roman de la Momie* oraz w kilku nowelach i niektórych poezjach Th. Gautier'a; w *Lokis* i *Vénus d'Ille* Mérimée'go; w *Trilby* i *Inès de las Serras* Nodier'a, wreszcie w *Peau-de-Chagrin* i *Séraphite* Balzac'a. U. Ch. Baudelaire'a, czciciela amerykańskiego poety i tłumacza jego dzieł, to upodobanie do nieraz przejaskrawionej i tylko dekoracyjnie pojmowanej nadzwyczajności przerodziło się w nostalgiczną, bolesną tęsknotę do *nouveau au fond de l' Inconnu.*

Ktoś wyraził się, iż najlepszem dziełem Baudelaire'a był Poe. Jest w tym paradoksie nieco prawdy. Istniał między

tymi samotniczymi marzycielami z dwu różnych i dalekich światów tajemniczy węzeł powinowactwa duchowego i jemu to zapewne należy przypisać, iż jednakiemi drogami podążała nietylko ich twórczość lecz także ich bezgranicznie smutne życie. Obaj mieli wczesną młodość pogodną i szczęśliwą; obaj czuli, że niema dla nich powołania poza literaturą; obaj byli gorąco przywiązani do kobiet, które nazywali swemi matkami; obaj poróżnili się ze swymi przybranymi ojcami; obaj kochali wiernie: jeden swą żonę, drugi swą niegodną kochankę; obaj nie byli zdolni do schlebiania opinii publicznej i żyli przeto w nędzy i opuszczeniu; obaj oddawali się zabójczym upojeniom, by zapomnieć ohydnej rzeczywistości i śnić o nieścignionem Pięknie; obaj lubowali się w słowach rzadkich, wrażeniach wstrząsających i uczuciach niepowszednich; obu wrogiem była pospolitość; obaj byli wyznawcami Łaski, poczętej z ekstazy, wierzyli w przodowniczą rolę wyobraźni intuicyjnej, rozumowania analitycznego i muzyki, nie znosili dydaktyzmu i długich poematów oraz stawiali sobie jako cel w poezyi rytmiczną kreację mistycznego Piękna; wreszcie obaj, pogrążeni w odmęcie niedoli, nadaremnie starali się z niej wydźwignąć i padli ofiarą tęsknot, co tylko w śmierci znajdują ukojenie.

Od 1846 r. jęły się pojawiać w czasopismach francuskich tłumaczenia nowel Poe'a i odrazu zwróciły na siebie uwagę autora *Fleurs du Mal*, pozostawiając w jego duszy niezatarte wrażenie. W jakiś czas potem pisał do Armanda Fraisse:

„W roku 1846 czy 47 zapoznałem się z niektórymi fragmentami Edgar'a Poe'a i doznałem szczególniejszego wzruszenia. Ponieważ dzieła jego zebrano dopiero po śmierci, w jednej tylko edycyi, więc zdobyłem się na tyle cierpliwości, iż pozawierałem znajomości z Amerykanami, żyjącymi w Paryżu, by wypożyczać od nich roczniki czasopism, redagowanych przez Edgara Poe'a. I może mi pan wierzyć lub nie — znalazłem w nich poematy i nowele, które, błędne, mętne i bezładne, snuły mi się już w myśli, a które Poe zdołał ukształtować i doprowadzić do doskonałości".

Z biegiem lat wzmagało się to uwielbienie dla poety z za Oceanu. Poe stał się dla Baudelaire'a mistrzem, prowadził go, jak Wergili Danta, przez wszystkie piekła, dostarczył mu klucza do własnego rozwoju. W *Mon coeur mis à nu* poeta francuski

wyznaje, iż „De Maistre i Edgar Poe nauczyli go rozumować" i ślubuje „odmawiać codziennie pacierze do Boga, źródła wszelkiej siły i wszelkiej sprawiedliwości, mając za orędowników ojca, Mariettę i Poe'a".

Przekład utworów Poe'a był dla Baudaleire'a czemś więcej niż przyswojeniem znakomitego, obcego pisarza. Uczucia, z jakiemi przystępował do tej pracy, zapewne niewiele się różniły od religijnej żarliwości średniowiecznych tłumaczy Ksiąg Świętych. Nawet czołobitny podziw Swinburne'a dla Victora Hugo nie dorównywał temu rozpętanemu entuzyazmowi, który znalazł ujście w następującem, treściwem i płomiennem określeniu twórczości autora *Ligeji:*

„Nie dzięki dziwom materjalnym, którym wszelako zawdzięczał swój rozgłos, udało się mu zdobyć podziw ludzi myślących, lecz dzięki umiłowaniu Piękna, dzięki znajomości warunków harmonicznych piękności, dzięki poezyi głębokiej, żałosnej, acz wykończonej, przejrzystej i poprawnej jak klejnot z kryształu — dzięki przedziwnemu stylowi, czystemu i osobliwemu—zwartemu jak oczka karaceny — wdzięcznemu i drobiazgowemu, którego najlżejsze drgnienie posuwa łagodnie czytelnika ku zamierzonemu celowi,—przedewszystkiem zaś dzięki wyłącznemu geniuszowi, dzięki jedynemu temperamentowi, który pozwalał mu w sposób nieskazitelny, porywający i straszliwy malować i tłumaczyć *wyjątki w moralnym porządku rzeczy*. Diderot, by przytoczyć przykład, jeden z pomiędzy stu, jest pisarzem krewkim; Poe jest pisarzem nerwów, a nawet czemś więcej—i najlepszym, jakiego znam".

By wykończyć ten wizerunek swego mistrza, posłużył się Baudelaire barwami z palety innego swego ulubieńca, wielkiego malarza romantycznego, Eugeniusza Delacroix, którego obrazy, wysnute z motywów Danta, Byrona i Shakespeara, pałają niegasnącą świetnością siarkowej żółcizny, obumarłej zieleni i tyryjskiej purpury. Mżyły mu one przed oczyma, gdy pisał:

„Podobnie jak nasz Eugeniusz Delacroix, który wydźwignął swą sztukę na wyżyny wielkiej poezyi, lubi Edgar Poe poruszać swe postacie na tłach, mieniących się fioletem i zielenią, zalatujących fosforescencyą zgnilizny i wyziewem burzy".

Pierwszy tom przekładów Baudelaire'a ukazał się w roku 1856. Później, w odstępach kilkuletnich, pojawiły się cztery na-

stępne. Autor „Kwiatów Grzechu“ dotrzymał obietnicy, wyrażonej w liście do Sainte-Beuve'a, iż obdarzy Francję dziełami Poe'a, a dokonał tego, jak powiada Th. Gautier, z taką ścisłą identyfikacyą myśli i stylu, z taką swobodą, wierną i razem gibką, że te przekłady sprawiają wrażenie utworów oryginalnych i w całej pełni posiadają ich genialną doskonałość. Naturalizowały one we Francyi, wedle wyrażenia tegoż poety i krytyka, osobliwszy geniusz Poe'a, dopuściły go do nielicznego grona pisarzy cudzoziemskich, których przyswoił sobie duch francuski.

Dla dogorywającego romantyzmu to odkrycie poezyi, dziwnej i dotychczas nieprzeczuwanej, a tak bardzo z istoty jego wynikającej, było jakby rozpięciem nowego, mistyczną czernią wiejącego żagla na skołatanej i bliskiej rozbicia łodzi. „Stwarzasz nowy dreszcz“, pisał z podziwem Victor Hugo do autora „Kwiatów Grzechu“, a słynne te słowa koryfeusza romantyzmu francuskiego w jednakiej stosowały się mierze do utworów oryginalnych i do przekładów Baudelaire'a. „Imię jego — opowiada Th. Gautier w przedmowie do *Fleurs du Mal* — nabrało rozgłosu przedewszystkiem dzięki tłumaczeniom z Edgara Poe'a.. Ciekawość była podniecona do najwyższego stopnia temi tajemniczemi opowieściami, co wyprowadzają się na kształt formuł algebraicznych i z ekspozycyi podobne są do śledztw sądowych, prowadzonych przez nadzwyczaj przezornego i subtelnego urzędnika. „Zabójstwo przy *Rue Morgue*“, „Skradziony list“, „Złoty żuk“ — te zagadki, trudniejsze od zagadek Sfinksa, a znajdujące pod koniec tak uzasadnione rozwiązanie, opętały publiczność, zobojętniałą dla powieści sensacyjnych i obyczajowych. Roznamiętniano się do tego Augusta Dupin'a, co obdarzony bystrością wieszczą, tak osobliwą, zda się dzierżyć w swym ręku nici, łączące najsprzeczniejsze myśli, i osięga swój cel za pomocą indukcyj, tak przedziwnie słusznych... „Studnia i Wahadło“ dławiły grozą... Doznawano zawrotu głowy, spoglądając w głąb wirującej otchłani Maelström'u, tego ogromnego leja, po którego ścianach krążą statki w zakosy, na podobieństwo źdźbeł słomy w trąbie powietrznej. „Prawda o wypadku M. Valdemar'a“ wstrząsała najsilniejszymi nawet nerwami, a „Zagłada Domu Usher“ rozniecała głębokie melancholje. Dla dusz tkliwych przedmiotem wzruszeń były przedewszystkiem postacie niewie-

ście, takie eteryczne, takie świetlane, tak romantycznie blade i tak widmowo piękne; poeta zowie je imionami Morelli, Ligeji, lady Roweny Trevanion of Tremaine i Eleonory, lecz nie są one niczem innem, niż inkarnacyą pod różnemi postaciami jednej, jedynej miłości, co przeżyła śmierć uwielbionej i trwa dalej poprzez awatary, wciąż odkrywane".

Prócz jednego dłuższego fragmentu oraz kilku utworów pomniejszych, odszukanych dopiero po zgonie piewcy „Kwiatów Grzechu", z próz poetyckich Poe'a przyswoił Baudelaire literaturze francuskiej niemal wszystko, co na przełożenie zasługiwało. Powodzenie tych przekładów przewyższyło najśmielsze oczekiwania ich twórcy i wywołało mnóstwo innych tłumaczeń, z których jednakowoż żadne nie zdołało dorównać arcydziełu Baudelaire'a. Po dziś dzień nie postradało ono swej pierwotnej świetności i niewątpliwie pozostanie nazawsze jednym z najdrogocenniejszych klejnotów prozy francuskiej.

Poezyj Baudelaire nie tłumaczył. Odtworzenie ich śpiewnego, rozełkanego, jakby w zaświatowych oddalach gubiącego się liryzmu nie wydawało mu się rzeczą możliwą. Mimo to w kilka lat po jego śmierci podjął się tego, nieprawdopodobnie trudnego zadania książę poetów-symbolistów, Stefan Mallarmé, i dokonał przekładu przeważającej części utworów wierszowych Poe'a prozą rytmiczną z przedziwnem mistrzostwem, nie ustępującem mistrzostwu Baudelaire'a. Któryś z krytyków angielskich, autor monografii o poecie amerykańskim, wyznaje, iż dopiero z tłumaczeń Mallarmé'go zdołał wyczuć do głębi rozwidnione widziadlanemi poświatami piękno lirycznych wierszy Poe'a.

Posiadłszy całokształt jego twórczości we własnym języku, jęli poeci i krytycy francuscy patrzeć nań własnemi oczyma, nieprzyćmionemi purytańskiem bielmem uprzedzeń amerykańskich. Dzięki ich cierpliwej, subtelnej, pełnej przenikliwości i zapału pracy, która równie głęboko przeniknęła w życie człowieka jak dzieło artysty, Poe z poety-potępieńca, z napoły niepoczytalnego, pijanego wódką i rozpaczą włóczęgi po zaułkach wielkomiejskich, urósł do godności tragicznego symbolu twórczego, lecz skazą bolesnej niemocy dotkniętego człowieczeństwa, co postawione między Dobrem i Złem, wybiera to ostatnie i ginie, zmiażdżone potwornem jego brzemieniem, przekazując po-

zostałej ludzkości prometejską cząstkę swego zbłąkanego ducha, boską skrę wiekuistego Piękna.

Poe lubił otaczać się tajemniczością. Brała ona początek z zawiłości jego duchowej struktury. Pod zwierciadlaną powierzchnią logicznej i chłodną refleksyą powodowanej świadomości kłębiły się odmęty dziedzicznie spaczonych instynktów. Za jakieś niedocieczone winy smagały wężami Erynie tę udręczoną duszę, której już za życia nie była obca kraina śmierci. Groza własnej natury objawiła się mu w owych chwilach przedzgonnych jasnowidzeń, kiedy powiadał o sobie z rozpaczą, że jest predestynowany na potępienie, że dla jego *âme perdue* niemasz zbawienia. Byłyż to tylko objawy obłędu i jak je pogodzić z nieprzerwaną ciągłością bezprzykładnie jasnej, rozlubowanej w misternie zadzierzgnionych łańcuchach logicznego rozumowania twórczości pisarza, którego Th. de Wyzewa uważa za bodaj najosobliwszego śród twórców całego świata?

Barbey d'Aurevilly poświęcił obszerniejsze studyum temu „mózgowi dziwnemu, potężnemu i choremu". Wedle niego „jestto jeden z tych umysłów, u których wrażenia, sposoby patrzenia, ba, nawet sposób cierpienia — zresztą wszystko nosi znamię zatrważającej oryginalności... Ludzie tacy, jak Poe, są przyczyną, że zakłopotani badacze wkońcu nie wiedzą, gdzie wytyczyć w głowie ludzkiej tę tajemną i subtelną linię, co tak często rozdziela nasilenie myśli od choroby i zboczenia talentu... Być może, iż ich talent, indywidualny, anormalny i właśnie dlatego tem mocniej wgryzający się w wyobraźnie zwyczajne, macza swe korzenie w jakiemś posępnym i przewlekłym obłędzie, na podobieństwo kwiecia, co nabiera nieznanych barw i centkowań, gdy pławi swe stopy w jakiejś truciznie".

Granice oryginalności amerykańskiego poety określa dokładniej Arvède Barine, który tak pisze:

„Istotne znaczenie poety czy powieściopisarza polega na tem, że przynosi on nam coś nowego, czego nigdy jeszcze nie powiedziano, o kilku wielkich zdarzeniach życia ludzkiego tudzież o kilku wiekuistych uczuciach ludzkości, któremi zajmować się warto. Poe przyniósł rzeczy nowe, bardzo nowe, lecz tylko ze świata dwu uczuć, mianowicie tajemniczości i lęku, oraz z zakresu jednego zdarzenia, którem jest śmierć. Żaden ze znakomitszych pisarzy nie posiadał szczuplejszej włości. Za to był

on w niej jedyny, a w sztuce — powtarzam raz jeszcze — tylko to, co jedyne, ma wartość i nic prócz niego".

Niecała jednak twórczość Poe'a daje się zamknąć w tem określeniu, które ponadto pomija zupełnie czynniki tak ogniście przez krytyka francuskiego wielbionej oryginalności. Polega ona ona na jedynem może w dziejach poezyi skojarzeniu niezgłębionego marzycielstwa, co na podobieństwo zgęszczonych oparów wydziela się z bezdennych topielisk cierpienia, z iście anglosaską, nieraz aż oschłą trzeźwością rozumowania oraz chłodnem upodobaniem do igrania z problematami, jedynie dla ich rozwiązania. Dzięki tym dwu, zazwyczaj obcym sobie właściwościom duchowym osięga Poe doskonałą spójność kompozycyi i razem przedziwną, omal rzeźbiarską wyrazistość na mistyczne rytmy nanizanego słowa. Są jednakże śród dzieł jego utwory, w których marzycielski liryzm zupełnie zanika, ustępując miejsca logicznej dedukcyi i badawczej analizie. Opowieści te zbudowane na wzór zagadnień matematycznych i zmierzające konsekwentnie do prawidłowego rozwiązania, wywołały podziw innego krytyka francuskiego, E Hennequin'a. „W „Żuku" i w opowieściach kryminalnych — powiada on w swej książce *Ecrivains francisés* — zdołał Poe rozniecić zaciekawienie, pozbawione wszelkich czynników emocyonalnych. Przyodziewa on w formę literacką tę zimną, a tak silną w umysłach spekulatywnych rozkosz, jaką sprawia rozwiązanie jakiegoś zagadnienia geometrom, metafizykom i strategikom. Wyposażywszy swe postacie przenikliwością, potęgą rozumu i prawidłowością deduktywną, porucza im jakieś zagadnienie, każe im coś przedsiębrać, badać, mylić się aż do rozwiązania, które wystrzela w ich mózgu jako piorunujący cios logiczny. W tym dramacie mózgowym przedmiot badania niewiększe ma znaczenie od stawki w partyi szachów i zwiększa tylko zaciekawienie, już istniejące. Jest to oczywiste, iż wykrycie zabójcy w „Zbrodni przy *rue Morgue*" albo wykopanie skarbu kapitana Kidd'a są poprostu wabikami, które sprawiają, iż zapominając najzupełniej o wszystkiem, podąża się śladem przedziwnych rozumowań i wytężonej działalności mózgowej Legrand'a czy Dupin'a. W tem rozważaniu zjawisk, wyłącznie intellektualnych, zaciekawienie przeobraża się, potężnieje i lodowacieje. Czytelnik doznaje pobudzenia zdolności kalkulacyjnych i analitycznych, o których doświadczenie

mu powiada, że nie mają nic wspólnego z namiętnością lub tkliwością. Podziwia osobliwszą moc tych nieludzkich opowiadań, ujarzmiających jego niezamąconą inteligencyę. A tajemnica ich potęgi zda się mu skrywać w niewzruszonym spokoju poety, który zdołał nie zamglić racyonalności swych najdłuższych dzieł żadnem serdeczniejszem powiedzeniem".

Do pochwalnego chóru swych poprzedników przyłączył się również Jules Lemaître. W „Rozmowie Umarłych„ mistrz nowoczesnej krytyki francuskiej zestawia poetę amerykańskiego z Platonem i Szekspirem i wkłada mu w usta następujące słowa:

„Macie słuszność. Żyłem w dwadzieścia trzy wieki po Platonie i w trzysta lat po Szekspirze, o jakieś tysiąc mil od Londynu i o jakieś dwa tysiące mil od Aten, na lądzie, nieznanym za czasów Platona. Byłem człowiekiem chorym i szalonym; doznawałem, jak nikt inny przede mną, grozy tego, co niewiadome, ciemne, tajemnicze, nieodgadnione. Byłem poetą opętań i zwidzeń; byłem poetą trwogi. Rozwijałem stylem ścisłym i chłodnym skrytą logikę obłędu i wysłowiłem takie stany świadomości, jakie nawet autor *Hamleta* przeczuł zaledwie dwa czy trzy razy. Być może, iż nie bez słuszności utrzymywano, że mniej się różnię od Szekspira niż od Platona; to pewna, że przedstawiamy trzy okazy rodzaju ludzkiego, możliwie najmniej do siebie podobne".

Sąd Lemaître'a jest jakby streszczeniem i zamknięciem poglądów starszego pokolenia krytyków francuskich. Imieniem młodszych pierwszy przemówił Camille Mauclair w swej nadzwyczaj zajmującej książce *l'Art en Silence:*

„Przeczytawszy opowiadanie Poe'a, nie zapominamy świata widzialnego, by błądzić w krainie snów; uzyskujemy jeno z tego, co nas otacza, nowy, bardziej ważki motyw zadumy i marzenia. Pomnażamy w niejakiej mierze nasz idealizm za pomocą sposobów, właściwych tylko materyalizmowi".

Zdaniem jego Poe nie idzie śladem innych pisarzy fantastycznych i nie żąda od nas, byśmy podziwiali pomysłowe kombinacye dziwacznych epizodów. „Wyobraźnia Poe'a zdąża od powierzchni ku głębi, od powszedniości ku zaniepokojeniu". Dalej mniema, iż autor „Potęgi Słowa" był umysłem mistycznym, a nie krytycznym; że rozum czysty pozostawał u niego w odwrotnym stosunku do rozumu praktycznego; że mieścił się

wszystek w skojarzeniu geniuszu i nieszczęścia; że sztuka bynajmniej nie była dlań celem, lecz tylko tymczasowym środkiem jego idealizmu; że należy go uważać przedewszystkiem za filozofa.

Wręcz odmiennie zapatruje się na poetę-potępieńca Remy de Gourmont, jeden z najświatlejszych pisarzy Francyi dzisiejszej. „Opowiadania stanowią—według niego—zaledwie połowę Edgara Poe'a, natomiast poezye zawierają go całego; najlepszą jego definicyą byłaby ta: wielki umysł krytyczny". „Niema większej niedorzeczności — dodaje, jakby nawiązywał do podobnych poglądów Poe'a—niż przeciwstawiać ducha twórczego duchowi krytycznemu. Bez zdolności krytycznej twórczość byłaby niemożliwa".

Remy de Gourmont zamyka to bynajmniej nie wyczerpujące zestawienie przedstawicieli krytycznej myśli francuskiej, którzy od śmierci Poe'a po dzień dzisiejszy usiłowali rozwidnić mroki, osłaniające tajemniczą twórczość i zagadkową indywidualność autora „Dzwonów". Rozprzestrzenili oni, pogłębili i uzasadnili entuzyastyczny osąd Baudelaire'a, ale go nie zmienili. Krytyka francuska podążyła wręcz odmiennemi drogami niż krytyka amerykańska i wręcz odmienne osięgnęła wyniki. Cienie, padające na człowieka, przenieśli Amerykanie także na dzieło, umniejszając przez to wszechludzkie jego znaczenie. Natomiast wolni od zacieśnień i w psychologiczne ujmowanie zjawisk literackich wdrożeni krytycy francuscy twórczą chwałą dzieła okryli ułomność i nędzę człowieka. Wyrzekłszy się swej zwykłej, mądrej powściągliwości, odczuli, iż obcy im pochodzeniem poeta śmierci jest czemś więcej niż przelotną sensacyą, bańką mydlaną, wydmuchaną przez skrzętnych recenzentów i wydawców dla zamydlenia osowiałych oczu czytającej gawiedzi. Zdali sobie sprawę z tytanicznego, w jakieś niedosiężne widnokręgi zapadającego tragizmu twórcy i dzieła. Poe przestał być tylko literatem — „zawodowym literatem" — i zajął należne sobie miejsce śród grona samotnych i nielicznych siewców ducha na pustyni, której piaski przesypują się bez końca w ogromnej klepsydrze wieków...

W wielkim duchowym prądzie, co wszczął się przed wiekiem, a wciąż jeszcze opływa i ogrzewa wystygłe dziś i zdziczałe wybrzeża ludzkości, twórczość poety amerykańskiego

znaczy się na toni, roztęczonej bielą, błękitem, złotem i purpurą, jak rdzawa plama krwi, wytoczonej z piersi pochłoniętego przez fale samobójcy. Dzięki tej dani tęsknoty i marzenia Poe wszystek nie umarł. Pozostała po nim demoniczna „Wola, co nie umiera". Jak wid Ligeji, niewidzialnie ważąc się w przestworzu, kropla po kropli sączy ona do kielicha Poezyi tajemniczą truciznę, co wywołuje przedzgonne wizje Grozy Ostatecznej.

JAN NEPOMUCEN MILLER

N — M

(BALLADA FONETYCZNA)

— Jam Nemo —
— z czarodziejskiej powieści Jules Verne'a
zstąpiłem w krąg przemiany —
— morza toń bezmierna
rzuciła mnie na wyspy nieznanej wybrzeża,
gdzie na straży bezludzia stała pustka niema,
czuwająca nad snem Polifema —
— w noc zastygłą upojeń snów i niepamięci
cedrowego polana żarzące się ostrze
wparłem z sykiem w oczodół aż do kości dotrze,
aż w krwawej jusze spłynie cyklopowe oko,
wyłupione z posady i zlane posoką —
— w noc upojną, zastygłą, nieodgadłą, niemą
zapytany odparłem:
ja — kapitan Nemo.

Trójrzędowcem po morzu porząc słone strugi,
z perską flotą przybyłem aż pod Salaminę,
stałem w słońca płomieniu — Temistokles drugi,
gdy wydane przeze mnie na pastwę Grekowi
w Egejskiego głąb morza nieodgadłą niemą
perskie padły okręty —
ja — kapitan Nemo.

Z wikingami na morza siniejące bezdroża
tam na północ daleką rwącym prądem i rzeką,
huczącemi roztoki
w brzeg skalisty, wysoki,
Wisłą, Niemnem, Dunajem

na studrożne rozstaje,
sturamienne rozdzielnie,
ludów płowych popielnie

Z burzą w zmowie, z wichrami, z zawieruchą otchłani
byłem sprawcą złowrogim pamiętnej zagłady
niezwyciężonej Armady.

Z kapitanem Nelsonem rozbijałem fregaty —
raz mnie ujrzał (czy wspomni?...) — pod starganą banderą
w ust spiekocie śród boju podawałem mu czarę —
czy spamiętał?...
tam — pod Trafalgarem...

Z Chodkiewiczem pod Szlakom hetmaniłem Polakom,
szwedzkie statki pod Gdańskiem kryłem w morzu bezpańskiem,
płacąc miarą krwi strugi, co z cecorskich pól
Dniestrem w morze spłynęła, za hetmana pot krwawy,
ziemi treść i sól,
połów suty wyprawy...

Z księżycowej zatoki w ciszy niemej, głębokiej
bez bandery i wiosła
niezdradzony, tajenny jako potok podziemny —
na spienionej wód ścieży
do nieznanych wybrzeży,
do nieścigłej przystani,
niezgłębionej otchłani —
w noc znaczoną, bezgwiezdną, nieodgadłą, niemą
wypłynąłem samowtór —
z kapitanem — ja Nemo.

I. K. IŁŁAKOWICZ.

WIOSENNE ŁOWY

Wyją za oknem głodne psy wichrowe,
na księżyc okrągły skowyczą,
boki mają wychudłe, pyski mają zziajane,
oparły się grzbietami zjeżonemi o ścianę,
nie ruszą się, aż w pogoń, na trop, za zdobyczą,
nie ruszą się do rana głodne psy wichrowe.
Wyją, skamlą, piszczą i o ścianę chrobocą, chrobocą
pod miesiąca przeczystą pogodą.
Słucham... o psy, o psy wygłodniałe w pogoni,
o myśli, przed któremi niemasz ucieczki, ni broni,
o pragnienia, co z nocy swój początek wiodą,
o psy, psy, co mię ścigacie, jak na stepie zwierza,
.. O, nocy, z którą niemasz, nie będzie przymierza!...
...Nie cichną... nie śpią... słucham... drapią ścianę, chrobocą,
chrobocą,
Spojrzę: pyski otwarte, paszcze miesiąc srebrzy, aż do gardła.
Nie czekajcie, nie czekajcie na mnie, psy wichrowe;
nie wylecę gonić, gnać bez tchu przez świat wiosenny,
łamać cienki, nikły w drodze lód muśnięciem stopy...
Chcecie biegu, chcecie pędu, chcecie żeru,
chcecie pięknych, dzikich łowów w noc wiosenną...
chcecie dech ostatni z piersi chwycić,
chcecie serce ludzkie w strzępy rwać, gdy pęknie
od uderzeń, jak dzwon rozpędzony.
Już dech pysków rozżartych na szyi
czułam nieraz...
Znam w miesiącu wiosny łowy,
nie pogonię, nie pogonię z wami, psy wichrowe,
znam rozkoszny wiatru śpiew w rozwianych włosach,
znam dotknięcie małych ziół, wspomniane w pędzie,

znam rozlanej wody straszny chłod na nizkich łąkach,
znam, pamiętam sosen woń, głębokie piaski,
a pozamną ciągły skowyt, tentent cichy,
ciepły wiew rozżartych paszcz... jarzenie ślepi,
żądzę żeru... głód zapadłych chudych żeber,
pęd śmiertelny, bezlitosny... do ostatka.
Znam, pamiętam... och pamiętam dobrze... psy wichrowe.
Nie śpią... wyją... skomlą... drapią ścianę, chrobocą, chrobocą
psy... sobacze widma... wy zmory... wy zjawy,
Oto stoję... okno otwarte... oto skaczę...
oto macie mnie znowu.
Gałęzie niby głosy świszczą... Ogród zatrzyma przemocą...
Nie... za nic... pokonane... bieg, pęd, lot...
początek łowów!

STANISŁAWA IWAŃSKA

* * *

Nie z wiosny, której niema, ale właśnie stąd
błąd mój się rozpoczyna i niewczesny żal,
przeczytałam już wszystkie Revues des deux mondes,
Shaw'a, Wilde'a, Eversa i Madame de Staël.

Zachwycałam się modnym Arturem Rimbaud,
połykałam tajniki zakurzonych ksiąg,
przeczytałam ich jedno, drugie, trzecie sto,
zapomniałam o kwietnej zieloności łąk.

Na mem czole wiekowych osiadł myśli ślad,
włosy me szarą gazą książkowy skrył kurz,
przygniotło mnie czytanych pięć tysięcy lat,
zapomniałam o miodnym aromacie róż.

W żelazne skuł mnie drążki papierowy bóg,
i czas ten przemyślany wydał się jak wiek,
Kant, Nietsche, France czy Poe dziś mi każdy wróg,
zapomniałam o życiu śpiewających rzek.

Przeoczyłam tej wiosny najpiękniejszy zmrok,
nie wzniósłszy młodych oczu z pod zmarszczonych brwi,
w kalendarzu zdziwiony dziś zatapiam wzrok,
słucham jęku wiosennych, nieużytych dni.

Nie z wiosny, której niema, ale właśnie stąd
błąd mój się rozpoczyna i niewczesny żal,
że czytałam te wszystkie Revues des deux mondes,
Kanta, Hegla, Eversa i Madame de Staël.

ZYGMUNT RÓŻYCKI

BIAŁE ŚWIATŁO.

O, bracia moi serdeczni! Ujmijcie złote topory tęsknot i hartowne siekiery wytrwania i walcie niemi w bramę swego ducha, dopokąd nie skrzypną ciężkie zawiasy i nie zgrzytną rdzawe klamczyska i nie rozerwą się oto wrzeciądze, skąd tryśnie ku wam światło o barwie białej, w którem rozpoznacie, iż ono to jest, co spaja was ze wszystkiem i trwa zawsze jednakie w porządku wszelkich rzeczy.

MALOWANE BOŻKI.

Przestańmy-ż nareszcie odgrywać komedję!.. Strąćmy wszystkie malowane bożki z malowanych piedestałów, by ich snadź wprzódy rdza nie przegryzła. — —

A wróciwszy do dom, otwórzmy okna na ścieżaj, by mogło do nas przemówić słońce, pouczając nas, jako żyć potrzeba.

I rozrzućmy po kątach pokojów wiela sosnowych i jodłowych wici, aby nas wonią żywiczną krzepiły, gdy opadać z nas będzie wszelka krzepkość ku życiu.

* * *

Cień Białej gwiazdy przemyka mi w zmierzchu, abym szarości nadto nie ukochał i nie uczepił się jakiegoś drzewa, które martwe jest i spopielone. — —

RÓŻA CZEKAŃSKA-HEYMANOWA

WRZESIEŃ.

(Z cyklu „we mgle i słońcu")

Bujny wrzesień, pejzażu wdzięczny kolorysta,
przepych barwy cieniuje w misterne półtony;
czerwień, złoto, purpurę liść rdzawo-zielony
w słodką łącząc harmonię, jak wielki artysta.

Patrz, jak lasu podściółka barwna i wzorzysta:
tu na mchu szmaragdowym muchomór czerwony,
ówdzie wrzosów liljowych lśni dywan strzyżony,
tam borówka dojrzała — kraśna i soczysta.....

Hen, daleko, za pługiem idzie chłop schylony
i orze szary ugór równo i powoli;
za pługiem ciągną chmurą gadatliwe wrony

i żeru wypatrują w czarnej, tłustej roli. — —
Nad chatami dym słupem wystrzela ku górze
i jasnym pióropuszem rozkwita w lazurze.

IRENA TUWIMÓWNA

SPOTKANIE.

Czasami, jak dziewczynce słodkiej i naiwnej
Marzy mi się, że kiedyś, gdy czas wszystko zatrze,
Spotkamy się w stolicy o nazwie przedziwnej
Na paradnej premierze w królewskim teatrze.

Będę rzucała z loży znużone spojrzenia,
W włosach mych chwiać się będzie paradis zielony...
Poznamy się natychmiast. I mimo wzruszenia
Zamienimy ze sobą dwa sztywne ukłony.

Ściemni się; w górę pójdzie kurtyna ze szlakiem,
Znajdziemy się oczyma, gdy światła pogasną —
I pomyślę: To dziwne — pod tym czarnym frakiem
Jest serce, które niegdyś czułam dłonią własną.

Później — czarny samochód, w wieczór zimny, mglisty
Zawiezie mnie do domu. Przed pałacu bramą
Zobaczę cię przez okno. I na twoje listy
Nie odpowiem ci wcale: będę wielką damą.

Lecz wiem, że tak nie będzie.
Gdy po latach wreszcie
Spotkamy się po długim, długim niewidzeniu,
Jak dziecko, co zbłądziło w dużym, obcym mieście
Rozpłaczę się bezradnie na twoim ramieniu.

JERZY BRZĘCZKOWSKI

Z KRAINY CZERWONEJ ŚMIERCI.

(PRYMITYW)

(UŁAMKI)

I

Białymi bandażami Bóg przewinął ziemię,
By nie krwawiła dłużej, jak wydarte serce: —
— Przez zaspy w stepach śnieżne stopami bosemi
Kroczył samotny Chrystus w Kraj Czerwonej Śmierci...
...A taki cały Jasny, jak czereśnia w bieli,
Powiewny, jak organów w tumie świętym granie,
Niosąc na ustach wielkie, a smętne wołanie,
A w dłoniach skroń cierniową, jak ofiarny kielich.

. . . .

W pocie czoła śmiertelnym szarzy ogrodnicy
Żęli na białym polu krwawe tulipany...
I poznał Bosy Pasterz, że oto w winnicy
Tłoczy się Nowe Wino dla Nowej Przemiany...

. . . .

...Białymi bandażami Bóg otulił ziemię,
Niby Ogrodnik Mądry nowych ziaren wschody: —
Tłoczy w Winnicy Chrystus na powtórne gody
Z kwiatów czerwonych Wino stopami bosemi...

III.

— Oj, rozpalą się stosy ofiarne,
Niby szlochu orkany czerwone: —
Czyjeś ręce rozpaczne — splecione
Buchną w niebo, jak w dzwony pożarne!

Oj, rozpali się niebo, rozpali,
Jak w procesji purpurą kardynał: —
Myśmy nockę krwią — krzyżem żegnali
W Imię Boga — Ojca i Syna...
— Podpalimy my nockę od Wschodu,
Bo tak słońce ją zawsze podpala,
A, kto żagwią nie bywał za — młodu, —
W naszym stosie niech rzęsy osmala!

Obdartusy, hej, bezdomni obszarpańce!
Tam na łączce pląsa młody Bóg — Kupało: —
— Trzęsie żagwią, tupie nogą — to mi tańce!
Cóż to drańsiwo? — cóż to chamstwo się pospało?
— A wyłaźcież z czarnych nor i piwnic,
A wyłaźcież czarnej nocki podpalacze: —
Utoczymy kraśne wino z winnic,
Upijemy winem słońce, aż zapłacze!
Hej, zapłacze kraśne słońce po — pijacku,
Okiem krwawem łypnie — het — na Zachód...
... Hej-że, wyłaź, brać obdarta, brać bosiacka —
Ty, Parszywy, Ty, Bezdomny, — Ty, — Kudłachu!
Podpalacze duszy,
Prostytutki woli, —
Każdy niech rozkruszy
To, co więcej boli...
Hej, rozkruszmy serce,
Tkajmy kraśne płachty: —
Bóg Czerwonej śmierci
Pośle nas na wachty!

IV.

Hej, żniwiarze, — już rozkwitły tulipany, .
Tulipany — krwią opite, krwawe kłosy: —
— Ktoś tam chodzi białą krajką przepasany,
Ktoś tam stoi w białej szatce, stoi bosy...
Tulipany — Tajemnicy kraśne usta, —
Czarnej Ziemi usta-rany rozchyl, bracie!

... Wieje szatka czyjaś biała, niby chusta...

. . . .

... Hej, żniwiarze, oberwańcy — wy klękacie?...

VI.

Hej, po stepie wiatr zawodzi,
W gołym stepie djabeł chodzi —
Pęta nas czartowska moc: —
Niema żagla, niema łodzi, —
„Słońce wschodzi i zachodzi
„W naszej turmie — wieczna noc...“

— Hej, po stepach djabli skaczą,
Otrząsają mokrą sierść: —
Nad rzeczułką iwy płaczą
Nad mą dolą psią — kozaczą —
— Panie, Panie — czy to śmierć?!!
— Hej, wierzbami wicher chłosta,
Djabeł tańce w stepie wodzi: —
Kraśne dziewki w kraśne usta
Ucałuje i uwodzi...
Kraśna dziewka — djabla moc
W stepie gdzieś brodjagę rodzi...

. . . .

Słońce wschodzi i zachodzi —
W naszej turmie — wieczna noc...

. . . .

EDWARD KOZIKOWSKI

TĘSKNOTA RAMY OKIENNEJ.

Tęsknotą do tych domów
po przeciwległej stronie
wypełniać pokryjomu
początek dnia i koniec.

Niewiedzieć w tej samotni
wpuszczoną ramą w cegły,
ile dni idzie pątnik
w noc na brzeg przeciwległy.

Ile w turkocie wozu,
fiakra i samochodu,
ginących w mgle napozór,
lśni wschodów i zachodów.

Przyczajać się do skoku
z wysokich pięter domu
i tęsknić do rynsztoków,
gdzie woda gna jak pomór.

I nie rozumieć nijak
przez woń farb i pokostu,
że pierwszy lepszy pijak
patrzy na ruch poprostu.

Tęsknotą ramion z drzewa,
wpuszczoną w wyłom muru,
wypełniać noc i śpiewać
przy pisku mknących szczurów.

Ku dymom wędrującym,
ku mgle niebieskiej zmierzchu,
podążać mniej lub więcej,
gdy blaski słońca pierzchną.

I męką, kołysaną
w zatartych słojach sosny,
w jakieś słoneczne rano
modlić się do swej wiosny.

I nagle spojrzeć żartem
na ten dom przeciwległy,
na rynny rdzą przeżarte,
na obnażone cegły.

I dziwić się, dlaczego
tak wiele, a tak mało,
trza losu zmiennym biegom
zawdzięczać rozkosz całą,

dlaczego z poza rolet,
na słońcu wypłowiałych,
lśni krajką barwne pole,
gdzie oczy się spotkały.

I w braku odpowiedzi,
co własny cień rozwiewa,
łkać gorzko i niewiedzieć
tęsknotą ramion z drzewa.

EMIL ZEGADŁOWICZ

SONET ŚLEPCÓW.

Niedorzeczność śmiesząca i śmieszna zarazem —
niedorzeczność zapałów, utopji, marzenia,
każe nam Bezimieńcom iść skalnym upłazem,
ku szczytom, które słońce wieczne opromienia.

Święta sugestjo wmówień! O niechaj twa władza
niedorzeczna trwa dłużej, niźli żywie człowiek —
niechaj nas olśni światłem, niech się w cud przęradza,
którego tajemnicą — czar zamkniętych powiek..

O trwaj, chwilo złudzenia! bo i cóż poza tem
może nadgwiezdne życie pogodzić ze światem? —

Rzeczywistość? Zewnętrzność? — kwiat blady, uwiędły,
który pajęcze nici przesądów oprzędły — —

Przeto niech nam owoce hesperyjskie strąca
z drzew złotych Niedorzeczność śmieszna i śmiesząca.

E. ZEGADŁOWICZ

STAŃCZYK.

1

Dróg rozstajnych obrońca — dumny wzrok rycerza
odwracam od okopów ruin Trójcy Świętej
i idę, gdzie mrok pustyń tajń mi swoją zwierza,
by zakopać w kurhanie miecz i hełm pęknięty.

2

O ironjo strąconych! Tobie ofiaruję
tę zwrotkę wielce smętną! — Teraz na pierś nagą
zarzucam togę smutku, by wejść między tuje
tren romantyczny śpiewać — z Hamleta powagą.

3

Księżyc blady mnie wabi na nocne turnieje
w mrok piwnic, w które schodzą z wież królewskich błazny,
zasobni w marzeń złoto i złote nadzieje —

Śzród sklenic pierścień rozmów dźwięczącą treść toczy
o mieczu rdzą zeżartym, o zbroi żelaznej:
„byle tylko przyszłości swej nie spojrzyć w oczy!"...

ZOFJA ROŚCISZEWSKA

DJABELSKI BAL.

Różyczki były małe, żółte, jak wykąpane w miodzie —
Żadne później nie pachniały tak w żadnym ogrodzie...
Narożnego salonu żółte były ściany,
W bursztynowym księżycu dom po pas skąpany —
Tak było w lecie — jak oni mieszkali...
. . . .
A w zimie, jak ich nie było —
Coś po domu cicho chodziło —
W kominie wiatr i dym tańczyły menueta,
A przed dom zajeżdżała djabla kareta.
Koni widać nie było; za czerwoną parą
Szła łuna, jak od pożaru...
A w zimie, jak ich nie było,
Djabeł na fortepianie
Jednym grał pazurem...
W balowej sali
Sznurem
Z portretów schodziły zapylone panie.
W kominie z wiatrem tańczył dym,
Wesoło było im,
Hulali!
Djabelskie rogi
Na ścianę rzucały powiększony cień,
Krynolinowych pań jedwabne nogi
Tańczyły, aż przez okna zajrzał dzień!...
Djabeł w takt bił djabelskiem kopytem,
A śmiech pań ginął gdzieś pod sufitem;
Jak w gorączce drżały z sopli żyrandole...
Ktoś z zamarłem sercem słuchał przez sen na dole...
Panie krynolinowe,

Jak ćmy kolorowe,
Za ręce brały — jedna drugą,
Zamykały djabła w ciasnem kole,
Od ścian odbitą — cytrynową przewiewały smugą.
Za ścianą ktoś ze strachu miał wypieki na twarzy i zimny pot na czole.

. . . .

Różyczki były małe, okrągłe, cytrynowej barwy —
W cytrynowym miesiącu dom po pas skąpany...
Narożnego salonu cytrynowe ściany...

HENRYK LEŚNIEWSKI

ZERWALI ASFALT.

Zerwali asfalt... Dorwałem się do ziemi
I żywe ciało całowałem...
Zerwali płyty, a pod niemi
Ją, matkę znów ujrzałem...
Zdjęto jej pancerz, gwałt okowy—
Słońce w nią spojrzało...
Jam ją całował w dzień majowy
I słońce całowało...
Dwoje nas tylko: ja i ono
kochali matki ciało!
Myśmy się nad nią pochylali,
Myśmy ją jedni całowali
Nim ciało zasłoniono...

FRANCISZEK JAŃCZYK

KAJETAN STEFANOWICZ „SOPLICA“

Są łzy, które do dzisiaj wiszą na powiekach,
Są pocałunki, które nie pieszczą nikogo,
Są ramiona, zaklęte w bezruchu tęsknotą.
. . . .
I jest Morze, co z dawna na owe łzy czeka,
I Lica, których usta dosięgnąć nie mogą,
I Miłość, której ludzkie ręce nie oplotą
. . . .

Obojętne mogą wam być wszystkie zapiski, daty i szczegóły, i obojętną może zdać się cała najbujniejsza kronika życia młodego trzydziestopięcioletniego artysty, skoro sylweta jego osobowości tkwi w świadomości Waszej tak wyraźnie, że myśl o zaprzeczeniu jego istnienia nie wyda się Wam nigdy podobną do prawdy, tak bowiem naturalną, niezmienną i niecofnioną wydaje się konieczność istnienia typu, który był pełnego życia prawdziwym wyrazem. Nie zapytacie — świadomi konieczności istnienia Kajetana Stefanowicza — o rok jego urodzenia, o tok studjów i udział w wystawach, nie będziecie szukać reprodukcji jego dzieł, pełnych znamion najrzetelniejszego talentu, a gdy spotkacie — piórem Stefanowicza kreślone — publikacje, pochodzące z najróżnorodniejszych dziedzin życia, pełne wszelkich zagadnień, jakie myśl ludzka sobie stawia, stwierdzicie, że przecież to rzecz naturalna i zgoła nie potrzebująca tłumaczeń, iż Stefanowicz, zwany w 1-ym pułku Szwoleżerów Soplicą, pisze znakomicie, maluje doskonale, żyje przebogato, po królewsku, kochany, ulubiony, olśniewający energją życia, porywający i rozrywany, ulubieniec bogów. Zapytacie o fakta, dokumenta, świadectwa i protokóły? A czyż one potrzebne Wam, którzy patrzyliście na jego niepożytą energję życia i zaufanie do losów? Czyż możecie wątpić Wy, którzy do tej chwili nie

wierzycie, że w porannych godzinach nad rzeką Słucz, pod Rohaczewem, zwalił się z konia wznak — jak znużony śmiertelnie rycerz, bezwładny, jak senne dziecko, posłuszny i karny wychowanek Legjonów.

Nie wierzycie Wy, którzyście podziwiali blaski jego czarnych oczu, lśniących przy słowach zapalczywej pogróżki, z jaką mówił o sienkiewiczowskich walkach na tyłach wojsk bolszewickich, które w dwa szwadrony beliniaków, w strzępy rozerwać obiecywał? Wszystkie kronikarskie wzmianki i daty spotykacie w licznych wspomnieniach pośmiertnych, w nekrologach oficjalnych, a nawet w telegramach kondolencyjnych, nadsyłanych rodzinie zabitego. Lecz nie zdołają one wypowiedzieć pełnego bogactwa jego duszy, tej duszy dziwnej, wymagającej spojrzeń od głębi płynących, spojrzeń, nie dających się zdezorjentować powierzchownym lub głośnym wyrazom życia ludzkiego.

Trzeba badać owe milczenia i luki, te *chwile ciszy*, zapadające między okrzykami życia, (które są tego życia uzupełniającym wyrazem), a wtedy pojmie się łatwo całą pełną psychikę człowieka pozornie znanego i odgadnionego.

„Chciałbym widzieć tę kulę, która ze mną spotkać się ośmieli" — mawiał Stefanowicz — ten sam, którego ulubiona piosenka kończyła się refrenem: „A serce moje płacze, wiem, iż Cię nie zobaczę".

Przeczytajcie list, w którym po śmierci matki swojej pisze: „Doczesność, o której wspominasz, zbladła mi zupełnie, a noc życia, która zabrała mi moją Matkę i przyjaciółkę, stała mi się niestraszna, bo pojąłem, że zamknięte na zawsze oczy widzą jasno i wiecznie". Zrozumiecie, że ten okazały żołnierz, wytworny światowiec, zdolny plastyk, utalentowany publicysta był przedewszystkiem głębokim myślicielem, wyposażonym w odwagę życia i w odwagę myśli. Rozumiał noc życia, odgadując w niej głębię wartościowszą od objawów życia fizycznego. Znał poranki i południa życia, więc nie przerażały go zmierzchy doczesności, lecz zwiastowały mu świt życia przyszłego.

On, tak zewnętrznie — zdawać by się mogło — żyjący, on, przesycony pozornie pozytywizmem życia, zaprawiony tradycjami romantyzmu, tworzył sobie przedmiot medytacji z najprostszych — i najnaturalniejszego porządku rzeczy dowodzą-

cych — wypadków, gruntował swe poglądy, zdobywał przeświadczenia o celowości i przyczynowości wszelkich zdarzeń na ziemi.

Więc i bolesny, katastrofalnie nagły, bezwzględnością swą przygniatający skon matki, przeraził go i zmiażdżył uczuciowo, lecz jak widać z wyżej zamieszczonego cytatu nie ubezwładnił krepą bezpłodności, nie zabił myśli twórczej martwotą.

W styczniową noc 1915 r. w Wiedniu, po przechadzce przez Kärntner-strasse, zbliżając się do punktu, z którego tum św. Stefana zdawał się na ciemnym granacie nieba wizjonerską — niemal — a nie architektoniczną koncepcją, wyznał, że widok kościelnych wieżyc zawsze mu przypomina owe słynne napisy, wokół tarczy zegarowej biegnące, z których jeden określa stosunek upływającego czasu do człowieka, w przerażającem stwierdzeniu: „Każda z nich rani, ostatnia zabija", drugi zaś przestrzega: „Jedna z nich będzie twoją" . : .

Wzięliśmy wówczas za punkt wyjścia rozumowań, prowadzonych dla określenia form powstawania np. wojny, ów pogląd Norwida, zamykający się w słowach:

...ludzkość się pryszczem obleka zjadliwym,
Ran zaniedbanie kwitnie mięsem żywem,
Te miecz wycinać, skra wypalać musi.

Tematy te porywały go i przykuwały myśl do siebie, mimo całej znanej u Stefanowicza wrażliwości na dowcip, humor i piękne słowa.

Możliwem było u niego sięganie po każdy temat, po każdą myśl, bo prócz umiejętności chłonięcia wrażeń, posiadał też trudną umiejętność stwarzania z nich przeświadczeń. Były one w nim zawsze gotowe do rozwoju, bo oparte o tętno myśli twórczej, nie dającej się zakuć w gotowe, trwałe, nieustępliwe pewniki.

Radość czy klęska, uśmiech czy żal, napotykane w życiu codziennem, zmieniały się w nim w zdecydowaną, skrajnie kolorową falę świetlną, lub w żałobne chmury, oblane raz po raz przez pragnienie życia, tkwiące w nim niezmiernie silnie i instynktownie, choć prawie podświadomie. Zawierzał temu instynktowi w chwilach wyczerpania duchowego i uczuciowego i dawał się mu prowadzić aż do chwili ocknięcia się myśli twórczej świadomej. Lecz w tych chwilach wyczerpania,

w owych momentach: zawierzeń, ufności, upadku sił, w owych chwilach opuszczenia rąk, w tych godzinach, zostawionych — bez straży — losom, one przychodzą by przypomnieć:

„Jedna z nich będzie twoją",

by stwierdzić, że ... ostatnia zabija.

Stefanowicz wiedział o tem, lecz zapomniał na chwilę pancerza, usnął bez straży.

Zapomniał, nie docenił, nie dostrzegł, zbagatelizował.

Zapomniał całkowicie, obserwując w dn. 29/IX 1920 r. przestrzeń przez nieprzyjaciela zajętą.

Nie domyślał się ten świetny porucznik szwoleżerów, że gdzieś daleko pod lasem, skąd strzały karabinów nie były nawet słyszalne, wstał pod wpływem jakiegoś niepokoju żołnierz rosyjski, nad którym podobne kłębią się chmury, jak nad każdym człowiekiem, i przeciągając się leniwie, podniósł posłusznie rękę zgodnie z niewytłumaczoną zachcianką, zgodnie z jakimś jakby podszeptem, nakazem, czy pokusą, i w stronę dalszą wystrzelił od niechcenia, powracając beztroskliwie do poprzednich zadum i do poprzedniej pozycji, nie wiedząc, że na moście pod Rohaczewem ze stojącego spokojnie wierzchowca, osunął się na ziemię młody ułan bez skurczu, bez jęku, bez okrzyku i pozostał bezwładny, spokojny, obojętny tuż przy kopytach rumaka.

PRZEKŁADY, WĄTKI I REFLEKSY

...oD symoniDesa... Do Da — Da...

Z LIRYKI GRECKIEJ

SYMONIDES Z KEOS.

Przechodniu!
W Lacedemony
gdy wstąpisz okrąg święcony—
powiedz:
pod Termopilami,
rażeni Persów grotami,
pod mrowiem kopyt i nóg —
niemym pokotem,
jak łany żniwne w spiekotę
na zbawczy padliśmy próg...
Przechodniu!
Zwycięzcą Bóg!

ALKAJOS Z MITYLENY.

Powiedziałbym ci, o Sapfo,
która w łagodnym uśmiechu
śnieżna i cicha, bez grzechu,
z pod czarnych loków na świat
patrzysz w ozdobie szat —
powiedziałbym ci, wyjawił,
pieśnią i fletnią wysławił,
na fali porwał szczyt —
tylko mi wstyd...

SAPFO Z LESBOS.

Plejady grążą się w morzu,
asfodel płatki rozwija —

na opuszczczonem łożu
leżę samotna, niczyja...

Godzina mknie za godziną, dzień za dniem mija.

HIPPONAKS Z EFEZU.

Dwa szczęsne dni mężczyzna zwykł z kobietą spędzać jak
[najsłodziej —
gdy miękko mu oddaje się, — gdy cicha w grób odchodzi.

Przełożył
JAN NEPOMUCEN MILLER

Z TEMATÓW CHIŃSKICH

CZANG-TSI: SAMOTNOŚĆ.

Jezioro sino-modra mgła zasnuła giezłem niezmierzonem;
jesień swój strój śmiertelny tka, okryła trawy srebrnym szronem—
jakoby w skony bladych zórz artysta rozsiał pył nefritu
na zżółkłe liście białych brzóz, na późne kwiaty śród przekwitu.

Przewiany zapach kwietnych łąk, jak nieziszczone me nadzieje;
wiatr zimny rzęzi posród brzóz, trzcin łodygami miota, chwieje;
rychło lotosu dumny kwiat, co stroił błękit wód wspaniale,
zerwie wichura w którąś noc i na wzburzone rzuci fale.

Znużone serce me; już kres; kaganek zagasł; brak oliwy;
noc groźna; w polach huczy wichr. — O śnie, o śnie, o śnie
[szczęśliwy,

zwól zażyć szczodrych, cichych łask — wyczaruj spokój mej
[rozterce —
w ukojną weź mnie trwałą straż i ukój chore smutkiem serce.

Samotność moja — ból i płacz; łzy się ostały z mych uniesień—
zadługo w sercu moim trwa opustoszała, mroczna jesień;
słońce miłości, wejdź w mój dom, rozkwieć ogrojec mojej
[duszy —
niechaj — miłości — twoja moc — gorzkie, samotne łzy osuszy.

Przełożył
EMIL ZEGADŁOWICZ

VITA SANCTI ALLEXIJ IN VULGARI RITMICE.

U Ł A M K I.

według wydania Wł. Wislockiego w Rozprawach Wydz. Filolog. Akademii Umiejętności 1876, t. IV.

...W rzymye gyedno panyą bilo,
Czosch bogv rado sluzilo,
. . . .
Byl wyszokyego rodv,
Nye myal po szobye zadnyego plodv:
Wyąncz czi yąly bogą proschicz,
Aby gye thim darowal
Aby gym gydno plemyą dal.
Bog thych proszby wyszluchal,
A gdy szyą mv szyn narodzyl,
Then szyą w lepsze przygodzyl:
Wyancz mv szdząno Allexi,
Then byl oczcza barszo lepszy.
. . . .
A wyacz mv czeszarz drzewka dal,
A papyesz gy sz nyą oddal.
. . . .
A gdy szą sz nyą pocladal,
Thej noczy sz nya gadal,

A reclk thako do nyey:
Ostawyam czą przi thim dzewstwye,
Wrocz mi gy, gdy badzewa oba w nyebyeskim krolewstwye;

. . . .

A yeko zaiwtra wstal.
Od obyąda szą precz bral:
O thym nykth nye wyedzal,
Gyedno zona gyego.
Tha wyedzala od nyego.
Nabral szobye szrebra, szlotha doszicz,
Czo go mogl pyechotą noszycz;
Wyancz szą na morze weszbral,
A oczecz w szaloszcz(y) ostal,
I macz myala doszycz zaloszczy,
Zona po nym gyeko spita...

J. L. RUNEBERG

DZIEWCZĘ RAZ ZE SCHADZKI SWEJ POWRACA...

Dziewczę raz ze schadzki swej powraca—ręce ma czerwone—
mówi matka: „Czemu masz czerwone ręce, córko?"
mówi dziewczę: „Ach! zrywałam róże —
ciernie tak mi poraniły ręce". —

Znów ze schadzki wraca kiedyś dziewczę,—usta ma czerwone—
mówi matka: „Czemu masz czerwone usta córko?" —
mówi dziewczę: „Ach! maliny rwałam,
sok owocu usta pomalował..."

Znów ze schadzki wraca kiedyś dziewczę, a lica jej blade...
mówi matka: „Czemu masz tak blade lica córko?" —
mówi dziewczę: „Gotuj grób o matko!
złóż mię doń i postaw krzyż drewniany,
a na krzyżu napisz, co ci mówię:

„Wraca kiedyś, ręce ma czerwone —
czerwień ta z uściśnień jest kochanka".

„Wraca kiedyś, usta ma czerwone —
czerwień z ust kochanka zcałowały".

„Wraca kiedyś... lica ma tak blade —
miły zdradził... bladość je pokryła".

Przełożyła
ZOFJA ROŚCISZEWSKA.

GEORGE MOORE

WE ARE ALONE.

Jesteśmy sami! NIE spiesz. Oto chcę ci
rzec, czemu uśmiech twój znużony święci
takie zwycięstwa nade mną; i dalej,
dlaczego kocham ciebie doskonalej,
niż wszyscy inni kochankowie. Oni
poszli za tobą li tylko w pogoni
cudnej miękkości szarych ócz — zarysu
smukłej postaci... słowem dla kaprysu,
pretekstu zwykłych miłostek. Ja zasię
dla innej racji. Słuchaj, rzecz tak ma się.
Lubię, gdy słońce osłabłe na stropie
w gwiazd beznadziejnym znika horoskopie,
pozostawiając niebu tęskną ciszę
spokojnych tonów — jak gdy się kołysze
miękko-śpiewanych psalmów rytm.
Tak właśnie,
niby lubieżna wizja nocy, zgaśnie
i twoje życie. I umrzesz mi oto,
jak wieczór, wonny wiosną i tęsknotą.
Chciałbym posiadać twe ostatnie chwile,
miłość ma godna tego. Proszę mile

o nie. Jam dotąd nie kochał; lecz cości
szepce, że ciebiebym kochał. Z pewności,
że czas już krótki, czerpałbym tę tkliwą
czułość ku tobie, co jest jak ogniwo
litości z żądzą. Szczęście, dziwne szczęście
niedorównane! bo cię Zgon w zamęście
już oczekuje, już gotując łoże,
woła: kochanko!
Swe uczucie może
źle zwę miłością. Widzieć cię wszelako
więdnącą, niby słodką dumkę jaką
albo fijołek — kosztowne i nowe
doznanie będzie to, wyższe o głowę
od doznań ludzi zwykłych...
Słuchaj, będę
szukał zakątka, gdzie się w żytnią grzędę
i w pszenne łany wplata powiew szmerny,
gdzie lśnią polanki, szemrze las niezmierny:
Miodowy miesiąc spędzim tam w szalecie,
gdzie bluszcz warkocze swe zielone plecie
ku oknom. Okna patrzą w sad, gdzie z sobą
będziem samotnie błądzić późną dobą
jesieni: widzę, jak się te spacery
skrócają: dziesięć kroków — siedem — cztery
już dla cię dużo — już musisz, znużona,
lilję swej twarzy tulić mi do łona
co parę minut. A zaś trochę później
w ramionachch moich zwisającą luźnie
będę zanosił na sofę u proga,
byś tchu ostatkiem mogła pić nieboga
ostatki słońca, gdy kwiatów kobierce
pachną najcudniej. Żreć mi będą serce
tysiączne smutki. Jak niebo, co we dnie
wiosny, piękniejsze jest im bardziej blednie,
(bo tracąc barwę, zyskuje pogodę
i szczytny spokój), — tak twe życie młode
uśnie mi w wiecznej już, wiecznej rozłące
pewnego zmierzchu. Będę łzy gorące
płakał na twarz twą noc całą, dzień cały.

Potem cię złożę, gdzie róże skraśniały,
gdziebym mógł marzyć, poświęcać i pisać
wiersze dla ciebie — i tą się kołysać
myślą rozkoszną: żeś teraz tak czysta,
tak niedostępna żądzom, jak srebrzysta
gwiazda ta, lśniąca za chmurnemi wałmi.
Śmierć bierze mało; owszem, zgon twój dał mi
ten mir, to wielkie poczucie własności,
nieosiągalne w ziemskiej namiętności.

Przełożył
CZESŁAW KOZŁOWSKI.

JOSÉ MARIA DE HEREDIA

ANTONJUSZ I KLEOPATRA.

CYDNUS.

W słońcu, które spłomienia zwycięskie lazury,
Srebrna tryrema, czarny porząc nurt w spienionej
Pozostawia za sobą smudze: fletni tony,
Jedwabiu szmer, kadzideł wonnych wiewne chmury.

Na przodzie, gdzie krogulczy dziób sterczy do góry,
Kleopatra. by lepiej widzieć, z pod opony
Baldachimu wychyla się w pysze czerwonej
Zórz, jak na łup dybiący ptak złocistopióry:

Oto tam Tars, wódz na nią czeka bez oręża.
Smagła Lagida ramion bursztyny wypręża
W uroku pełną przestrzeń i nie widzi wcale,

Że obok na znak losu, tuż u jej stóp, kwieci
Toń posępną na ciemne otrząsając fale
Płatki róż — Śmierć i Żądza, boskich para dzieci.

WIECZÓR PO BITWIE.

Natarcie było ciężkie bardzo. Centurjoni
I trybunowie, kohort sprawiający szyki,
Chłoną jeszcze z powietrza, w którem drżą ich krzyki
Upał rzezi wraz z ostrej wyziewami woni.

Posępnem okiem zwłoki towarzyszów broni
Licząc, widzą żołnierze, jak w oddali — nikiej
Zwiędłe liście — harcują fraorckie łuczniki.
Pot ścieka legjonistom z ogorzałych skroni.

Właśnie się ukazuje mnóstwem strzał zjeżony,
Rumiany od posoki świeżych ran czerwonej,
Śród dzwoniących fanfarę trąb muszlanych wrzawy,

Spłoszonego rumaka poskramiając szały,
W lśniącym spiżu, w purpurze rozwianej, wspaniały,
Na gorejącem niebie Imperatotr krwawy.

ANTONIUSZ I KLEOPATRA.

Z wyniosłego tarasu widzieli oboje
Usypiający Egipt, noc parną na niebie,
Oraz rzekę, co rżnąc się w Delty czarnej glebie
Ku Bubastis czy Sais toczy iły swoje.

I rzymianin wyczuwał poprzez ciężką zbroję,
Jeniec, co sen kobiety — dziecięcia kolebie,
Iż gibkie ciało, które przygarniał do siebie,
Słania się na zwycięskiem sercu, jak powoje.

Zwoje włosów bronzowych nad bladą jej skronią
Pachnideł go potężnych odurzały wonią,
Gdy usta mu dawała i oczu blask szczery.

A pochylony nad nią imperator gorze
I w pełnych gwiazd źrenicach widzi — całe morze
Niezmierne, gdzie w rozsypce pierzchają galery.

Przełożył
STEFAN GODLEWSKI

JEAN MORÉAS

Samotny i skupiony iść będę powoli
Drogą, pod niebem zgasłem, gdzie radości niema;
Z sercem miłości pełnem: z podnóża topoli
Jesienne liście zgarnę rękami obiema.

Wsłucham się w szelest wiatru i wrzawę ptaszęcą,
Rozgłośną, kiedy wieczór daje znać o sobie.
Na polach, nad brzegami wód, które się smęcą,
Długo rozmyślać będę o życiu, o grobie.

Chłód zmierzchu każe chmurom stężeć w odrętwieniu,
Zachód zwolna przysłoni tuman wędrowniczy,
Wtedy, siadłszy na jakim przydrożnym kamieniu,
Utrudzony, w spokoju złamię chleb goryczy.

Przełożył
STANISŁAW MIŁASZEWSKI

CHARLES VAN LERBERGHE

SIOSTRZYCZKA MOJA, ULEWA.

Siotrzyczka moja, ulewa
przy letnim cichym wietrze
spada i szemrze i śpiewa
poprzez wilgotne powietrze.

Cały naszyjnik jej z pereł rosy
pękł i rozsypał się skroś obłoki.
Śpiewajcie, kosy,
tańcujcie, sroki,
po drzewach, które chłoszcze ulewa;
niech tańczą gniazda, każdy kwiat śpiewa;
błogosławione — co z nieba spada!

Deszcz pod me usta podsuwa — lśniące,
wilgne swe wargi — poziomki leśne —
śmieje się, trąca
mnie jednocześnie
stukiem maleńkich palców tysiąca.

Po kwietnych dywanach dźwięczy
i od jutrzenki aż do zachodu,
i od wieczora aż do poranku
spada i dzwoni, płacze i jęczy,
pada i pada wciąż bez ustanku.

A potem słońce na niebios stropy
wpłynie i włosy złotemi
obetrze mokre ulewy stopy.

Przełożyła
RÓŻA CZEKAŃSKA-HEYMANOWA

KURT SCHWITTERS (ur 1887)

POEMAT № 13

ZRANIONE RÓŻE KRWAWIĄ

Rany rysy ranią ranią
róże chylą chylą róże
parność rani parność parność
chylą róże chylą chylą
parność rany ranią ranią
róże parnią parnią róże
żary kapią kapią żary
żary kapią kapią żar
Krwawią róże ranią parnie
chylą rany różą krew

noc chylą róże noc
noc ranią krew krew
noc krwawią noc
krew nocą krew
krew krwawią
krew

srebrodźwięk
cudołąka srebrodzwięk
łąkokojąc krwawodzwięk

milczenie krwawi krew.

„Przełożył"
E. Z.

KURT SCHWITTERS.

WIERSZ № 8

Rozdygotanie.
Glista.
Ryby.
Czasy.
Krowa.
Las liści liściem.
Kropla asfaltu w śnieżnej bieli.
Kry, Kry, Kry, Kry, Kry.
Człek prawy stanął wichrom wbrew
bez dzięki i zapłaty.

„Przełożył"
J. N. M.

APUCHTINADA WARSZAWSKICH TEATRÓW.

Nie bez przyczyny pisał humorysta jednego z pism warszawskich, iż pewien znakomity Jugosłowianin przybył pewnego dnia do Warszawy, by zapoznać się z kulturą narodu, który jak krążyły wersje w Południowej Słowiańszczyźnie jest najbardziej kulturalnym narodem wśród Słowian.

Pisał potem znakomity Jugosłowianin w pismach swego kraju, że: *„wersje o Polsce są przesadne, zwłaszcza w odniesieniu do teatru, albowiem Polacy żyją wyłącznie utworami zagranicznemi, kierując się przypadkowym wyborem sztuk, raczej sensacyjnych niż artystycznie wartościowych"*. Obojętną byłaby nam krytyka cudzoziemca, gdyby nie najgłębsze przekonanie, iż pomiatanie polską twórczością jest systemem warszawskich teatrów, na których czele stoją ludzie albo nieodpowiedzialni, albo zasadniczo nie dorośli do wymagań chwili, która pragnie odrodzenia kultury polskiej na rodzimych pierwiastkach i na wartościach, wydobytych z głębin polskiej duchowości.

Skoro przedsiębiorca teatralny dyr. Dr. Arnold Szyfman z właściwą sobie przedsiębiorczością wyławia najbardziej ponętne dla teatralnego tłumu arcydzieła zagranicznych zakamarków lub bulwarowych smaczków, nie możemy mieć nic przeciw temu, oceniając zapobiegliwość kierownictwa teatrów o kasę...

Jeśli jednak obficie subwencjonowane teatry rywalizować pragną z sensacjami „Cierpkich Owoców", „Kiki", „Powodzi" lub „Bahrowskich Koncertów", widzimy w tem zbrodnię wobec własnej kultury i przyszłości.

Czem nas obdarzył teatr Rozmaitości w ciągu ubiegłego sezonu?

„Południcą" — Staffa, wznowieniem kilku starszych sztuk, dwuch polskich arcydzieł, dwuch sensacyjno-aktualnych komedji polskich autorów. Resztę wieczorów zajęły cudzoziemskie widowiska. Teatr był przeważnie zapełniony — aktorzy gorąco oklaskiwani — a kultura polska pokrzywdzona, gorzej niż za czasów Apuchtina.

Polski autor niema wstępu do polskich teatrów, co najwyżej wsuwają go pomiędzy obce utwory, celem złapania oddechu między torreadorskiem „Orlęciem" a drewnianą piłą Mereżkowskiego.

Młode pokolenie poetów z obawą i pogardą patrzy na taki gwałt zadany polskiej kulturze. Młode pokolenie artystów domaga się, by dyrektorzy teatrów zrozumieli konieczność chwili, wstrzyknęli sobie w żyły eliksir odmładzający i wychowali Warszawę w szacunku dla własnej kultury.

Świecą pustkami rzędy krzeseł na festivalach polskich arcydzieł, znakomity Chmieliński stwarza Beneta. jakiego Polska dotąd nie widziała, przed rzadko zapełnioną widownią. „Cierpkie Owoce" ściągają tłum ludzkiego paskudztwa a „Kiki" wywołuje dreszcze upojeń paskarskich.

Znakomity aktor i podobno nawet pisarz na uświęcenie swego jubileuszu gra Calderona, nie znajdując godnych siebie autorów w przebogatej

twórczości polskiej. Aktorzy idą niemal na pięści o rolę w Orlątku ś. p. Rostanda Słowackiego skrzypią przez zęby pobłażliwie i bez furji. Aktor polski zapomniał o obowiązkach wobec poetów swego narodu—a publiczność nie ryknie mu: Dość, przestań — bo nikt jej jeszcze nie uświadomił, że jest publicznością polską.

Będziemy to czynić —

Podnosimy walkę z apuchtinadą warszawskich teatrów.

ŚWIST.

DAMJAN ŻBIK.

IZMY KRYTYCZNE.

PISMA PRZYSZŁOŚCI.

„Tygodnik Illustrowany“ — wychodzi co tydzień — i jest ilustrowany

„Świat“ — się kończy na ulicy szpitalnej. O ile „die Woche“ już nie wychodzi, o tyle „Świat“ tej zalety nie posiada. Poza krzywo zszewczonemi artykułami jedynie dział kosmetyczny prowadzony jest z należytą maestrją, zwłaszczcza dla łysych i piegowatych; wpływy futurystyczne znaczne; elementarny kurs poronień krytycznych owadzi Eustrachy Czekalski; starszego felczera brak; pozatem tygodnik ten wychodzi co tydzień, ozdobiony podobiznami głów tancerek i nóg dyplomatów; Szpitalny Przegląd ten regularnością sobotnią wprowadza ogromne zamieszanie wśród czytelników Tygodnika Illustrowanego.

PISMA PRZESZŁOŚCI.

„Krokwie“ —; dzięki zabiegliwości i czujności redakcji odkryto w pokładach neolitycznych numer drugi tego wytwornego pisma; zeszyt ten jest pełen objawień — zwłaszcza dla inteligencji francuskiej i dyplomatów polskich. Poza utworami Flaubert'a, Baudelaira, Black'a, Michała Anioła—umieszczono— z poetów polskich — niejakiego Norwida; młody ten talent rozwija się coraz bardziej, silniej, górniej —

Zdarzenia I.

P. K. A.

Poniedziałki literackie: poniedziałki—napewno, literackie— nie zawsze; zwłaszcza te ciemnogrodzkie; pozatem niedziałki.

Wtorki — „czytelnia otwarta“ — zamknięta; smętny bridż.

Środy — trochę rozumniejsze ale też nie.

Czwartki — co Bóg da.

Piątek — rozpamiętywanie pasji (tej Makurzyńskiego); wszystko zmartwione (przez f.—) brakiem tematów do rozpraw.

Sobota — sabat Terpsychory; Stanisław spotniały.

Zdarzenia II.

Z. Z. L. P.

Czarne kawy Z. Z. L. P. Bacuje przedni gazda; zszedł z obrazu Tycjana, wstąpił na Rydwan — po drodze mu było — i oto przewodzi zacnie czarnym mszom związkowym. Panie, nigdy nie strudzony, coś ongi w auli Jgiellońskiej laury wonne i zachwyt dwutysięcy ócz i uszu zbierał, — jakoż zgadzasz się chętnie przed garstką Zetzetelepów przemawiać? „Szkodzi nie“ — co dobre — tego mało.

* *
*.

Redakcja Ponowy czuje się żywo dotknięta posądzeniem p. Pień—Kowskiego co do braku w jej łonie i gronie pederastów i żydów; postaramy się jaknajrychlej uzupełnić braki dostrzeżone jastrzebią źrenicą — zasłużonego na niwie uprawy roli ojczystej krytyka; pozatem cenne tortury krytyczne mile nas łechcą — w serce; tymczasem ze szczególnem uznaniem witamy ukonstytuowanie się nowego triumwiratu: SŁO — PIEŃ — KRA (— jak inni chcą: KRA — SŁO — PIEŃ —); rozdział władz: Słonimski — Kurjer Polski, Pieńkowski — Gazeta Warszawska, Krajewski — Gospoda Poetów. Sapienti sat.

Błędy drukarskie w № 1 „PONOWY“.

W artykule Karola Irzykowskiego p. t. Futuryzm a szachy. ostatni wiersz na str. 37 powinien brzmieć:

Ale gdyby np. damie dodać choćby tylko właściwości skoczka...

szesnasty wiersz od dołu na str. 38:

Jesteśmy świadkami dość intensywnego mnożenia elementów

szesnasty wiersz od góry na str. 41

zam. „ostatecznego“ powinno być „estetycznego“.

I JESZCZE SŁÓW KILKA.

Każdy niemal świadomy swoich przeznaczeń naród zdobył się na własny język, obyczajowość i religję, podobnie zdobyć się musi na własne formy wyrazu artystycznego. Pouczają o tem dzieje prawdziwie wielkich i twórczych narodów. Niwelujące działanie międzynarodowej cywilizacji na narody bierniejsze i jednostki słabsze głuszy i tłumi właściwe im formy czucia artystycznego, narzucając im gotowe już, w przygotowaniu na eksport wygładzone z wszelkich chropowatości, kłujących czucie obce, foremki. Chcąc się doszukać tej swojskiej, rodzimej, odrębnej, swoistej formy wyrazu, należy zejść tam, gdzie jeszcze niwelujący wpływ tej schematycznej międzynarodowej cywilizacji nie dotarł (a ściślej — w mniejszym stopniu) do twórczości ludowej. Zejść jednak nie po to, aby ją uznać za formę jedyną i obowiązującą, lecz by nawiązać zatraconą już niemal łączność z ziemią, z konkretnością barw, wagą kształtu, argusową powłoką skamieniałego w umyśle pojęcia, zmysłowością dźwięku i pszebogatą symfonią Słowa; by się odwrócić od trawiącej nas jeszcze maniery romansopisarskiej i abstrakcyjnej psychografji.

Nie zamierzamy się zasklepiać i otaczać chińskim murem przestrachu wobec wszelkich wpływów zewnętrznych, choćby najgórniejszych. Przeciwnie. Wyciągamy (jako rzeczono) ręce do wszystkiego co ludzkie i boskie. Sądzimy jednak, że radość czy zachwyt z otworzenia się oczu naszych na nowe światło życia powinniśmy wyrazić właściwym sobie sposobem. Powiemy więcej. Chcemy się spokrewnić duchem z ludzkością i wszechświatem przez wydobycie z sebie pierwiastków wspólnoty i jedni (w dziedzinie treści) nie mętu i wrogości.

Przestańmy raz być już niemym wyrzutem i „upiorem" narodów, zatraćmy w sobie ten smęt małoduszny, tę zawiść powszednią i sprawność papuzią, tę pasorzytniczą inteligencję polipa, co macką schwyta to co prąd przyniesie.

Zechciejcie chcieć wreszcie sami.

REDAKCJA.

P O N O W A

PISMO POŚWIĘCONE POEZJI I SZTUCE

ZESZYT III PONOWY UKAŻE SIĘ W DRUGIEJ POŁOWIE WRZEŚNIA I OBEJMOWAĆ BĘDZIE PRÓCZ UTWORÓW ORYGINALNYCH I PRZEKŁADÓW BOGATY DZIAŁ KRYTYCZNY I POLEMICZNY. TRZECI ZESZYT PONOWY ZAKOŃCZY PIERWSZY TOM WYDAWNICTWA.

REDAKCJA PROSI WSZYSTKICH AUTOROW O NADSYŁANIE EGZEMPLARZY RECENZYJNYCH.

ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, NIECAŁA 14 m. 3. TELEFON 185-50.

ADMINISTRACJA CZYNNA BĘDZIE PRZEZ LIPIEC W PONIEDZIAŁKI, ŚRODY I PIĄTKI OD GODZINY 6 DO 8.

Z POWODU BRAKU MIEJSCA SPIS KSIĄŻEK NADESŁANYCH I OMÓWIENIE ICH UMIEŚCIMY W ZESZYCIE TRZECIM.

SKŁADALI: JÓZEF CELLING i ZYGMUNT FRĄCZKOWSKI. ODBIJAŁ: KAROL MALINOWSKI.

TABLE DES MATIÈRES.

TRADUCTIONS:

ZAKŁADY GRAFICZNE
EUGENIUSZA I Dra KAZIMIERZA
KOZIAŃSKICH
DRUKARNIA LITOGRAFIA CYNKOGRAFIA
W WARSZAWIE
STEREOTYPIA I ODLEWNIA CZCIONEK
DAWNIEJ
TOW. AKC.
S. ORGELBRANDA SYNÓW